Nr. 482. (Wydanie popołudniowe). We Lwowie czwartek dnia 16 października 1902 r. Rok XXXV.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie:
miesięcznie 2 korony; — za dwurazową dostawą do domu dopłaca się 10 halerzy;
na prowincji:

z jednorazową przesyłką:		z dwurazową przesyłką:	
rocznie	30 K — h	rocznie	36 K — h
kwartalnie	7 „ 50 „	kwartalnie	9 „ — „
miesięcznie	2 „ 50 „	miesięcznie	3 „ — „

W Niemczech miesięcznie 3 M. 50 fen
W innych krajach miesięcznie 4 Fr

Rękopisów Redakcja nie zwraca

Adres: „Dziennik Polski“ — Lwów, plac Marjacki l. 2. Telefon Nr. 151.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie.

Ogłoszenia.
Za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 20 halerzy
Za jeden wiersz petitowy w rubryce *Nadesłane* 40 halerzy
Drobne ogłoszenia po 3 halerze za słowo. Najmniejsze ogłoszenie 30 halerzy.
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po *Kronice* za jeden wiersz petitowy 60 halerzy.

Numer pojedynczy:

we Lwowie:		na prowincji:	
poranny	8 halerze	poranny	6 halerzy
wieczorny	8 halerzy	wieczorny	10 halerzy

Organizacja.

Lwów 15 października.

Zamieściliśmy w poniedziałkowem wydaniu porannem komunikat, nadesłany nam z komitetu centralnego, a streszczający przebieg obrad zjazdu mężów zaufania, który odbył się we Lwowie ubiegłej niedzieli. Jakkolwiek sprawozdanie ogranicza się taką ścisłością, że czyni wrażenie, jak gdyby usiłował rozmyślnie osłabić doniosłość tego zjazdu, to jednak, gdy do tego oschłego i biurokratycznego komunikatu dodamy głosy pism, w ścisłych pozostające stosunkach z większością komitetu, oraz echa, jakie zjazd wywołał wśród licznych jego uczestników, nabieramy przekonania, że mamy do czynienia już nie z samą kwestją wyborów, która dotychczas stanowiła wyłączny zakres działania tej instytucji, ale z wielką, na szerokie masy obliczoną i ponad stronnictwami górującą **akcją narodową**. Organizacja wyborcza wydaje się nam w programie zjazdu mężów zaufania jedną ze spraw aktualnych, ale nie wyłączną, nie jedynym celem, jaki przebijał z tendencji zgromadzenia.

Pośród ludzi z całego kraju, którzy przybyli na zaproszenie komitetu centralnego i żywo uczestniczyli w obradach, czytamy nazwiska osób z najrozmaitszych obozów polskich, osób, które zresztą stały dotychczas na uboczu wobec komitetu centralnego, a nawet takich, co otwarcie nie godziły się na taktykę tego komitetu. Przybyły one niewątpliwie z niezmienionemi uczuciami i przekonaniami i trudno przypuścić, iżby sprowadziła je wyłącznie organizacja wyborcza. Świadczy o tem także bardzo wymownie dyskusja, która, począwszy od programowego zagajenia hr. Wojciecha Dzieduszyckiego, aż do końcowego *resumé*, dokonanego przez posła dra Kozłowskiego, obracała się około kwestji zjednoczenia wszystkich stronnictw narodowych i wyszukania stycznych, któreby wszystkim rzeczonym odłamom społeczeństwa umożliwiły łączną, zgodną, a intenzywną pracę nad narodowem i społecznem uświadomieniem, nad podźwignięciem ekonomicznem i nad obroną polskiego ludu w Galicji.

I ta właśnie cecha zjazdu stawia go wysoko w oczach całego społeczeństwa. Że inicjatywa do tego wyszła z łona większości sejmowej, która posiada w kraju swych zwolenników i przeciwników, to nie argument do uprzedzenia i niechęci. Owszem, uważamy za objaw wysoce dodatni, iż naraz w narodzie z dwóch stron przeciwnych ozwało się hasło jedno i to samo: zgody i jedności w pracy narodowej. W komitecie centralnym padło ono ze sfer konserwatywnych i spowodowało zjazd niedzielny; w obozach demokratycznych ozwało się równocześnie i w dosłownem brzmieniu, jako postulat przygotowującego się wiecu narodowego. Chwila tak poważna, a sprawa tak święta, że nie ośmielilibyśmy się którejkolwiekbądź inicjatywie podsuwać tendencyj stronniczych, sobkostwa, lub chęci wyzyskania zapału, jaki dzisiaj przenika cały naród, dla niskiej i ekskluzywnej spekulacji na rzecz stronniczą.

Nie godzimy się przeto z głosami tych, którzy twierdzą, że frakcja konserwatywna, pod hasłem jedności w narodowej pracy, pragnie uchwycić hegemonję nad innemi stronnictwami; albowiem nie wierzymy w taką słabość zasad i energji owych stronnictw, ani nie chcielibyśmy dopuścić do podejrzenia, że analogiczny cel mają demokraci, którzy zapoczątkowali wiec narodowy. Owszem, z radością i otuchą witamy wystąpienie komitetu centralnego na szeroki teren organizacji i obrony narodowej przy współdziałaniu wszystkich sfer i obozów, chociażby już z tego względu, że taki krok zbliżyć i zbratać musi poszczególne żywioły społeczeństwa, dzisiaj chińskim murem przesądów i kastowej wyłączności rozbite na jakieś odrębne narody w narodzie. Nie szukamy powodów skutku i tajników serc nie możemy badać, ale stwierdzamy fakt, że ta własność wielka naszego kraju, tak dotychczas w przeważnej części ekskluzywna i samolubna, wyciąga pierwsza dłoń do miast i siół i pragnie wspólnej pracy, nie pod hasłem swego stronnictwa, ale pod hasłem owych miast i siół, które w sprawach narodu podziela i wyznaje. Jest coś w tym akcie pojednania wyższego ponad sprawy stanów, sfer, obozów i — dzielnic. Jest coś, co przypomina ducha konfederacyj stanów w chwilach ciężkiej opresji ojczyzny ze strony wrogów...

Wierzymy, że dwie równoczesne akcje, jakie na dwóch krańcach naszego społeczeństwa wynikły, nie wynikły dla hegemonji, lub konkurencji. I wierzymy, że prędzej, lub później spotkają się i złączą w jedność.

Otwarcie parlamentu.

Wiedeń 14 października.

Za dwa dni zbierze się izba poselska na sesję jesienną, ale wbrew oczekiwaniom i zapowiedziom, posłowie nie znajdą jeszcze na pulpitach przedłożenia o ugodzie węgierskiej, a co za tem idzie, także kwestja obstrukcji nie będzie teraz rozstrzygniętą. Jeśli nie zajdzie jaki nieprzewidziany wypadek, mamy więc na razie przed sobą sesję pełną pracy, bez żadnej szczególnej emocji, ale tem bardziej użyteczną i tem bardziej produktywną. Że do przedłożenia ugody niezbyt jeszcze blisko, stwierdza też poniedziałkowy organ prezydenta gabinetu. *Montagsrevue* polemizuje z artykułem węgierskiego ekssekretarza stanu, pana Matlekowicza, który napisał między innemi, że ugoda nie może przyjść do skutku, bo rząd austrjacki nie daje gwarancji, że w głównej części wypracowane już szczegóły ugody zostaną przez radę państwa akceptowane i z powodu, że rząd austrjacki nie ma odwagi zaryzykować uchwały parlamentu, co do obowiązującego dziś, na podstawie paragrafu czternastego, wydanego rozporządzenia. Na to odpowiada *Montagsrevue* krótko: „Zważywszy, że najważniejsze twierdzenie pana Matlekowicza, jakoby szczegóły ugody były już w głównej części ustanowione, dowodzi, jak mało były sekretarz stanu poinformowany jest o przebiegu rokowań, wartość jego dalszych twierdzeń, sama z siebie się charakteryzuje“.

Rząd zaprzecza więc, jakoby szczegóły ugody były już w głównej części gotowe, a tem samem daje do poznania, że ugoda nie rychło jeszcze wpłynie do izby. Wynika to też z obszernego programu prac, jaki półurzędowy organ ustanawia **przed ugodą**; dość wymienić tu zupełne uchwalenie budżetu. Z wszystkich oznak wnosić więc można, że parlament zajmie się ugodą dopiero w sesji zimowej, na razie zaś załatwić ma ustawę prasową, budżet i bieżące sprawy.

Taki podział pracy jest też dla spokoju izby o wiele korzystniejszym. Gdyby przedłożenia ugodowe natychmiast znalazły się na stole prezydjalnym, Czesi może, wbrew własnej woli, wszczęliby musieli obstrukcję już przy pierwszem czytaniu. Bez zbytniej przenikliwości jasnem jest, że Czesi sami radziby się od obstrukcji wywinąć, byle im to umożliwiono. Rząd odraczając ugodę, daje im tę możność.

Na porządku dziennym izby nie ma dziś ani jednej sprawy, która obudzićby mogła narodową drażliwość, spokojna zaś praca ustawodawcza będzie doskonałem przygotowaniem do rzeczowego traktowania ugody.

Równolegle stronnictwa radzić będą o projekcie ustawy językowej, który w zarysach wręczy dziś pan Koerber przywódcom. Gdyby narada taka odbywała się — chociaż nie równocześnie z dyskusją o ugodzie, ale w czasie, kiedy przedłożenia ugodowe byłyby już znane, stronnictwa oglądałyby się nietylko na treść ustawy językowej, ale i na treść ustaw ugodowych. Dziś mają przed sobą jedynie ustawę językową i o tyle łatwiej dojść mogą do zgody. Niewdzięczna to rzecz bawić się w odgadywanie zagadki, na czem właściwie rokowania ugodowe utknęły, ale nie byłoby nic w tem dziwnego, gdyby punktem spornym był jedynie termin ich wniesienia.

Rząd zdecydował się na krok bardzo doniosły i dokonawszy na razie uzdrowienia parlamentu, zabrał się do najtrudniejszej w Austrji kwestji, do uregulowania niemiecko-czeskich stosunków. Jest to sprawa tak trudna, że nie wolno jej niczem komplikować. Jeden fałszywy krok, jeden wzgląd uboczny, popsuć może wszystko. Nie znam w tej chwili jeszcze propozycji p. Koerbera, ale z góry przewidzieć można, że minister, który tak doskonale zna właściwości i drażliwości i jednej i drugiej strony, przedłoży projekt co najmniej nadający się do rzeczowej dyskusji. Ale dyskusji tej zapewnić należy spokój i usunąć wszystko, co mogłoby zaćmić względy rzeczowe.

Dyspozycja stronnictw jest bezwarunkowo korzystną. Niemcy, mimo fanfaronady pana Pradego i towarzyszy, nie czują się pewnymi w dzisiejszej sferze posiadania. Nad głową im wisi ciągle groźba obstrukcji czeskiej, a w konsekwencji zmiana stosunków parlamentarnych i majoryzacja. Byliby więc skłonni do ustępstw, pod warunkiem, żeby na zewnątrz nie uchodzili za zwyciężonych.

Czesi z pewnością nie z lekkiem sercem zabraliby się do obstrukcji. Sądzę, że istotnie nie mają oni obawy co do przyszłości swego narodu w Austrji i mogą zaryzykować nawet przejście przez absolutyzm i prześladowanie. Ale Czesi są przedewszystkiem narodem pracy i narodem, który pod względem ekonomicznym ma bardzo wiele do stracenia. Ugoda węgierska jest dla nich kwestją pierwszorzędnego znaczenia. Z politycznej walki, chociażby po ciężkich przejściach, wyjść muszą zwycięsko, ale ekonomicznych strat nikt im nie wynagrodzi. Obie strony więc szczerze szukają wyjścia z przykrej sytuacji. Na uboczu tylko pozostają z jednej strony Wszechniemcy, z drugiej może grupa p. Klofacza. Co do tej grupy popełnili Młodoczesi błąd przez to, że sprzeciwili się zaproszeniu jej do udziału w konferencjach. Z góry więc mają przygotowaną w kraju agitację przeciw uchwałom tej konferencji.

Co do Wszechniemców, to tych wprawdzie na konferencję zaproszono, ale z góry już liczono się z ich odmową. Schoenerer i towarzysze zajęli więc wygodne miejsce krytyków i niewątpliwie każdą zgodę napiętnują, jako narodową zdradę. Na szczęście rozterki w własnym obozie i ciągłe skandaliczne procesy, osłabiły wpływ i znaczenie tej grupy.

Na ogół szanse są tym razem korzystne, a rzeczą innych stronnictw będzie, wpływać uspokajająco na obie grupy i osłaniać dzieło pojednania. (r.)

Przed wiecem młodzieży żydowskiej.

II. Za kilka dni odbędzie się wiec lwowskiej młodzieży akademickiej żydowskiej.

Zebranie to nie zasługiwałoby wcale na baczniejszą uwagę społeczeństwa, gdyby nie jeden punkt programu, wpleciony w tok obrad. Stanowisko ogółu młodzieży żydowskiej, zaznaczone uchwałą wiecu nad tym punktem obrad, jest niezwykle doniosłego znaczenia. Rzec można, iż decydować będzie o ukształtowaniu się stosunku między młodzieżą chrześcijańską a żydowską wogóle. Dlatego też zawczasu należy bacznie się przyjrzeć tej sprawie i póki czas, ostrzec prowodyrów młodzieży żydowskiej przed krokiem, głęboko się wrzynającym w przyszłość i posiadającym doniosłość, z której sobie sprawy nie zdają ci, którzy dając folgę swym namiętnościom i ambicjom, staczają rzesze swych współwyznawców w położenie dwuznaczne i wysoce niebezpieczne.

Chodzi o **uznanie narodowości żydowskiej na uniwersytecie.**

Władze uniwersyteckie uznawały dotychczas **wyznanie** mojżeszowe. Wypełniwszy w odpowiednich aktach rubrykę, tyczącą się wyznania, pozostaje słuchaczowi uniwersytetu do wypełnienia rubryka: narodowość. Otóż dążeniem młodzieży żydowskiej o zabarwieniu syonistycznem jest, by władze uniwersyteckie uznały wypełnienie rubryki, tyczącej się narodowości, słowem „żydowska“, za ważne.

Nie miejsce tu do roztrząsań socjologicznych i etnograficznych o istnieniu narodowości żydowskiej. *Pro* i *contra* w tej arcytrudnej do rozwiązania kwestji ważyły się w umysłach tylu uczonych, zarówno żydowskich jak i nieżydowskich, iż w formie artykułu decydować niepodobna: czy istnieje odrębna i pełna narodowość żydowska czy nie?

Sam zaś fakt, iż istnienie narodowości żydowskiej jest niepewnem, iż podlega ono poważnej krytyce, naukowym zarzutom, powątpiewaniom, bo nawet stanowczym zaprzeczeniom — przemawia za tem, iż instytut naukowy nie może i nie powinien uznać tego za pewne i zadecydowane, co jeszcze się znajduje w toku dyskusji. Tyle bowiem oczywistych braków i niedomagań społecznych spotykamy w pojęciu narodowości żydowskiej, iż trudno, by ją bezkrytycznie uznawać. Każdy wie, iż żyd stanowi jednostkę etycznie odrębną, na odmiennych podstawach religijnych i moralnych opartą — tem samem jednak nikt nie przyznaje, iż żydzi to narodowość taka jak niemiecka, francuska, polska itd..

Lecz — jak już powyżej zaznaczyliśmy — nie o kwesję istnienia narodowości żydowskiej nam chodzi. Niech sobie nad nią głowy suszą uczeni socjologowie!

Przypuśćmy nawet, że w żydostwie istnieją poza pierwiastkami rasowymi i religijnymi, wypaczone oczywista, pierwiastki narodowościowe. Przypuśćmy, że na mocy intenzywnej na wieki rozłożonej pracy, kiedyś w przyszłości zaistnieć może z mas żydowskich jednostka narodowościowa tak pojęta, jak my dziś narodowość pojmujemy.

Cóż z tego wynika? Czyż my dziś dlatego już mamy narodowość żydowską uznawać?

Apelujemy do rozumu prowodyrów syonistycznych: co za realną, praktyczną, oczywistą korzyść odniosłoby ewentualne uznanie narodowości żydowskiej na uniwersytecie?

Polityka, jaką syoniści prowadzą, śmiało może być nazwana polityką kiwania palcem w bucie. Bo i cóż z tego wyniknie, jeżeli formalnie w rubryce uniwersyteckiej słuchacz wyznania mojżeszowego wpisze: narodowość żydowska?

Nic pozytywnego, a wiele negatywnego!

Pozytywnego nic, bo uznanie narodowości byłoby aktem zewnętrznym, beztreściwym.

Negatywnego zaś wiele, bardzo wiele. Eliminując się bowiem stanowczo ze społeczeństwa i narodu polskiego, zwróciłby go żyd przeciw sobie. Boć oczywista. Pasorzytów, jawnie wykluczających się z ustroju danego społeczeństwa, nie karmi się krwią swą serdeczną, lecz stara wszelkimi siłami wykorzenić. Tak jest na całym świecie i żydzi tego nie zmienią.

A dalej. Wykluczając się z narodowości i społeczeństwa polskiego, musieliby się żydzi oprzeć na własnych podstawach, własnej kulturze, własnej nauce i wiedzy. Niech się przewódcy żydowscy uderzą w piersi i przyznają: mająż oni w danych stosunkach tak silne podstawy własnej kultury, nauki i wiedzy, by na nich swój rozwój oprzeć? Czyż nie czerpią zarówno jak inni ze skarbnicy światowej kultury, a przedewszystkiem narodu, wśród którego żyją? Mają — co prawda — tradycję minionej kultury, ale nie mają współczesnej. Brak jej nadrabiają w ten sposób, iż przystosowują się do zdobyczy swego otoczenia, iż zdobycze te, z wrodzonym im sprytem, łatwo wyzyskują.

Ze względu więc na własne dobro dążyć nie powinni do izolowania się ze społeczeństw, wśród których żyją.

Konsekwencje wiecu, który się ma za kilka dni odbyć, zmierzają właśnie w tym kierunku.

Obowiązkiem naszym jest ostrzedz młodzież żydowską przed nieopatrznym krokiem, mogącym stać się rozdźwiękiem i przepaścią tak wielką, iż żadne późniejsze usiłowania pokryć i zatrzeć jej nie potrafią.

Mały fejleton.

Djabeł w sieci.

(Bajka cygańska).

Nad brzegiem Prutu, w starej, zniszczonej chatce mieszkał niegdyś bardzo biedny rybak wraz z żoną i niedawno urodzonem dzieckiem, a nazywał się Mokhan.

Co rano rybak udawał się do Galaczu, wiozący na sprzedaż ryby, złowione w nocy i żył tylko z marnego zarobku, jaki miał ze swego rzemiosła.

Niestety, nadeszła chwila, gdy z niewiadomej przyczyny, zabrakło w tej miejscowości ryb, których dotąd była tu obfitość. W przeciągu nocy zaledwie zdążył złapać trzy, lub cztery sztuki.

Ale rybak pocieszał się, że ryby powrócą, czekał, niestety, naprożno.

Pewnego razu, przez całą noc biedny rybak nie schwytał ani jednej rybki. Świt zaróżowił już wierzchołki gór, gdy zarzucał sieć po raz ostatni... Gdy począł sieć wyciągać, uczuł, że jest niezwykle ciężka. Ucieszył się bardzo, sądząc, że połów wynagrodzi mu długie niepowodzenie. Wyciągnął sieć na łódkę i wtedy dopiero przekonał się, że schwytał w sieć... czarnego, nagiego karła...

Karzeł wyplątał się z sieci własnemi siłami, siadł obok rybaka i zagadnął:

— Wiem, że cierpisz głód z całą rodziną, co mi dasz za to, jeżeli cię natychmiast zrobię najbogatszym człowiekiem w kraju?

— Dam ci to, co mam u siebie najcenniejszego, daję na to słowo — odparł rybak.

— Zgoda — odpowiedział djabeł, gdyż był to właśnie djabeł w swej własnej osobie — a ja zostawiam ci termin dwudziestoletni do odebrania mej własności.

Po chwili łódź rybaka, który nie przypuszczał nawet, skąd się biorą takie bogactwa, cała wypełniła się złotem i srebrem, tak, że o mało nie zatonęła i zły duch zniknął, wziąwszy przedtem od rybaka cyrograf i obietnicę stawienia się w miejscu i czasie oznaczonym.

Z największą ostrożnością Mokhan przybił do brzegu i z pomocą żony spędził znaczną część poranku na przenoszeniu skarbu do kufra, który, prócz łóżka, stanowiły jedyny mebel jego chatki.

Wtedy dopiero rybak począł szukać oczyma tego, coby było w jego domu najcenniejszem i zadrżał; mały synek wyciągał doń rączki... Tak, to najcenniejsza rzecz w jego chatce. Począł ronić łzy i wyznał żonie, jaką straszną zawarł umowę.

Lecz żona była lepszej myśli.

— Masz dwadzieścia lat — mówiła z otuchą — na to, aby obmyślić sposób wykręcenia się z trudności; wtedy znajdziemy środek pozbycia się djabła i jego pretensji. Tymczasem, jak mówi przysłowie: „co warto wziąć, tego warto pilnować“.

Uspokojony nieco, rybak nazajutrz udał się do miasta, kupił wspaniały dom, meble, piękną odzież i począł używać szczęścia.

Syn jego, kształcony przez najsłynniejszych nauczycieli, wyrósł na młodzieńca rozsądnego i śmiałego. Tembardziej więc, gdy zbliżał się termin dwudziestoletni, biedny ojciec smucił się i rozpaczał, żałując nierozsądnej umowy.

Pewnego razu zamyślony głęboko, spacerował nad brzegiem Prutu; gdy się znajdował naprost tego miejsca, gdzie w swoim czasie złowił w sieci djabła, zadrżał całem ciałem. W tej samej chwili usłyszał krzyk głośny i zobaczył jakąś kobietę, tonącą na środku rzeki.

Dzielny Mokhan, zapominając o własnych troskach, rzuca się w ubraniu w wodę, płynie na środek rzeki i chwyta nieszczęśliwą w chwili, gdy już miała zniknąć pod wodą. Z wielkim wysiłkiem wyciągnął ją na brzeg.

Kobieta była zemdlona, gdy przyszła do przytomności, rzekła do swego wybawcy:

— Mokhanie, twój dobry uczynek nie pozostanie bez nagrody. Jestem królową cygańską,

---

(78)

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

Wrzos

POWIEŚĆ.

Wysoko, wśród całych gajów roślin cieplarnianych, stała metalowa trumna, katafalk pierwszej klasy kosztował setki, imponował, ale Józefiakowa patrzała nań ponuro... Był to grób jej dzieci, jej doli, jej całej przyszłości. Nie modliła się, poczęła tej umarłej się skarżyć, wyrzucać, a wreszcie, znękana ostatecznie, zaniosła się rozdzierającym płaczem. I łkała malutka Hela, nie rozumiejąc, co się stało i chyba po przez święty duch Kazi ten płacz musiał słyszeć.

— Co wam, kobieto? Czego tak płaczecie?

Ktoś dotknął ramienia Józefiakowej. Obejrzała się, jakiś pan stał nad nią.

— Po mojej pani płaczę — wyjąkała.

— Służyliście u niej?

— Nie — ona ci nam służyła! Pan nie wie! My z Pańskiej ulicy! Nas tam zostało może ze stu ludzi, a wymarnieją bez niej. I poco ona mnie z tyfusu wyratowała i tego robaczka, po co się cieszyła, jak dziecko ożyło z gorączki? A sama od nas poszła! Jakie prawo miała nas rzucić? Chyba Boga nie ma na świecie!

Mężczyzna popatrzał na trumnę i długo stał nieruchomy.

Kurjera już przeczytali ludzie, coraz wchodził do krypty to lokaj wygalonowany, to chłopak od ogrodnika, to posłaniec, kładł każdy wieniec u stóp katafalku i wychodził spiesznie.

— Zaprowadźcie mnie do siebie! — rzekł wreszcie mężczyzna do Józefiakowej. — Pani mi was poleciła. Chodźcie!

U progu skinął na dorożkę, ulokował kobietę, pojechali. I szedł za nimi duch Kazi i słyszał w sobie Bogucki jej głos cichy i słodki:

— Stachu — umiłowałam w życiu ciebie i twoją ideę. Teraz ci ich oddaję, tych moich, serdecznie moich. O Stachu, koili mi oni tęsknotę po tobie, byłeś ze mną przy nich! Takci i tobie będzie. Nie szukaj mnie wśród tych wieńców i nie idź za tym prochem moim na Powązki! Ja tam nie będę, ja z tobą, Stachu serdeczny, wśród nich zostanę!

. . . .

Kurjer był już rozniesiony. Czytał go Wolski, pijąc samotnie kawę. Żona i córki jeszcze odsypiały jakiś bal. Zbudził je bez ceremonji wołaniem:

— Słyszeliście! Awantura! A toć Andrzejowa umarła!

— Nie może być? Kiedy? — ozwały się senne głosy.

— Wczoraj. Już jest nekrolog. Pogrzeb we wtorek.

— Ile miała lat? Skąd pogrzeb?

Rozbudziły się nowiną. W negliżach zeszły się do jadalni, czytały wszystkie.

— To się biedaczka wybrała w same zapusty! — westchnęła mama. — Ależ zgasła prędko. Prezes się okropnie zmartwi.

— No i Andrzej był onegdaj okropnie przybity, gdym tam wstąpił po wieści.

— Et — co tam Andrzej! Zobaczycie, że go Jarłowa złapie.

— Będziemy, mamo, na pogrzebie?

— A jakże i na nabożeństwie! Trzeba odświeżyć czarne suknie.

— No, to nasz wieczór u Sobolskich przepadł.

— Ano, chyba nie wypada!

— Coby to jej było szkodziło umrzeć w popielec?

— Wypada wianek posłać? — bąknął Wolski.

— Zapewne — wszyscy poślą. Cóż robić? Nie można się wyróżniać! Trudno — kilkanaście rubli to będzie kosztować, ale dla starego trzeba to zrobić.

— Żeby choć śnieg nie padał we wtorek. Masa osób będzie na pogrzebie pewnie.

— Wątpię — zła pora.

Wolski westchnął i wstał.

— To ja wianek zaraz poślę.

— O kwiaty mniejsza, tylko na wstęgę nie żałuj. Każ wydrukować.. — zamyśliła się i dodała: — najmilszej krewnej — od Wolskich...

— Ah! — co za cios dla Sanickich! — zawołał stary Markham, przy czytaniu *Kurjera*.

— Co? Umarła biedaczka! Już? Co prawda, od pierwszego dnia choroby, doktor Morawski najgorzej wróżył. Wojowała i dowojowała się. Dowiedziona rzecz, że się zaraziła tyfusem u jakichś swoich protegowanych! Co za nieostrożność! Bywała wszędzie, mogła nanieść nam wszystkim zarazy. Łaska Boska jeszcze. No, teraz Ramszysowa znowu sama zostanie. Downar do niej telegrafował, bo jak się ta biedaczka położyła, chaos tam zapanował. Żadnej u nich organizacji nie ma!

— Biedny prezes, tak ją kochał.

— Biedny! Andrzej już zaczął latać za Jarową, teraz jeszcze bardziej się zadurzy! A ta mu domu nie umili na starość, o nie! Szkoda starego. Trzeba wianek posłać i być na nabożeństwie. Na Powązki damy kartkę Guciowi z żoną!

— Jezu! Marja! Kazia umarła! — wrzasnęła Dąbrowska do pierwszej z kuzynek, które się ukazały tego dnia. Była rzetelnie zmartwiona, więc choć już było około pierwszej, jeszcze nie zaczęła tualety, ani domowych porządków.

Kuzynki już przeczytały nekrolog, przyszły po szczegóły.

— Tyś miała odwagę tam chodzić w czasie choroby? To strasznie zaraźliwe!

— Ano — byłam codzień! Ja i Dąbrowska stara!

— Bardzo cierpiała? Mówiła co?

— Nie! Siedm dni nie otworzyła oczu i ust! Nic nie słyszała, ani rozumiała! Mówię wam, okropne było. Doktorowie powiadają, że musiała już od tygodnia mieć tyfus i tak go przechodziła, dlatego i nie było już ratunku. Dyszała tylko i czarna była od gorączki, ale na nic się nie skarżyła, tylko wczoraj poczęła rękami pościel szarpać! Biedactwo!

— A ksiądz był?

— Był onegdaj! Podobno, gdy do niej przemówił, otworzyła oczy i poruszyła ustami, ale głos nie wyszedł z gardła, tylko jakby się uśmiechnęła!

— Biedactwo! — powtórzyły wszystkie. Że też tylu doktorów mieć mogli i nie uratowali.

— Było pięciu! Prezes od zmysłów odchodził?

— A Andrzej?

— Andrzej był, jak odurzony. A przytem wściekły na tę jej nędzę protegowaną: To oni ją zabili, tam się zaraziła — mówił! Powydusiłbym to, jak robactwo. Niech mi się ośmielą pokazać! Żal mu jej było, naprawdę żal!

— A Radlicz co? Dowiadywał się?

— To jest narwaniec! — spotkałam go

przeszłość ani przyszłość przed mojem okiem się nie ukryje. Znam powód twego smutku i dam ci środek, z którego pomocą zerwiesz umowę, zawartą z djabłem.

— Oto masz — ciągnęła dalej, wyjmując z kieszeni mały krzyżyk drewniany — krzyżyk, pochodzący z Jeruzalem, potarty o grób Zbawiciela. Kto go nosi, do tego djabeł nie ma przystępu. Daj go synowi i poślij go bez obawy na miejsce umówione z djabłem.

Były rybak podziękował za dar ze łzami w oczach, wziął krzyżyk i powrócił do swego pięknego domu. Opowiedział żonie swoją przygodę.

— Trzeba zrobić tak, jak kazała królowa cygańska — rzekła żona.

Na tę chwilę nadszedł syn. Rodzice wtajemniczyli go w całą sprawę, która dotąd była mu nieznana i młodzieniec, pełen wiary w talizman, zdecydował się zobaczyć nazajutrz z djabłem.

Miejsce umówione było w karczmie, położonej w wąwozie, w miejscowości dzikiej, niedostępnej, można było tam usłyszeć tylko wycie wilków i hukanie ptaków nocnych.

Pełen odwagi, młodzian wszedł do karczmy. Wśród wyziewów siarki i smoły ujrzał tam uwijający się cały legjon djabłów.

Na widok krzyżyka trzymanego w ręku przez młodziana, djabli poczęli uciekać w popłochu, lecz po chwili wrócili i starali się go otoczyć.

Lecz młodzian zasłaniał się świętym talizmanem, którego sam widok sprawiał złym duchom niewymowne męczarnie i w imię Boga żywego, kazał djabłom wezwać starszego djabła.

Złe duchy nie spełniły rozkazu, pomimo strasznych katuszy, jakie przechodziły i błagały go, aby się z ich przybytku oddalił.

— Nie — odpowiedział dzielny młodzian — nie ruszę się stąd, dopóki nie oddacie mi cyrografu mego ojca.

Wtedy jeden z djabłów skoczył do przepaści, z której się z sykiem wydobywały płomienie i po chwili wyniósł fatalny cyrograf. Podał go młodzieńcowi, odwracając oczy od krzyża. Wtedy dopiero syn Mokhana opuścił gospodę djabelską i pełen radości powrócił do domu rodziców, których szczęście nie miało granic. W tydzień później rodzice dzielnego młodziana uroczyście obchodzili święto ocalenia jedynaka i gorąco dziękowali Bogu.

Mokhan połowę majątku rozdał biednym cyganom, chcąc w ten sposób wywdzięczyć się ich królowej.

KRONIKA.

Przy zebraniach publicznych, zabawach towarzyskich i wszelkich uroczystościach pamiętajmy o ofiarach na budowę kościołów we wschodniej Galicji i na Towarzystwo Szkoły ludowej.

—

Lwów 15 sierpnia

Stan powietrza. Godzina 12 w południe: Ciepłota + 9° R. Deszcz.

Wiadomości osobiste. Dr. Kazimierz Hofmokl, operator, powrócił i ordynuje, jak przedtem.

Zmiana własności. Dobra Dobrków, Złotorja i Gałęczyna w pow. pilzneńskim nabył dr. Józef Kaden od p. Hieronima Sykosy za 300.000 kor.

Jubileusz Konopnickiej. W niedzielę, dnia 19 bm. o godzinie 11 odbędzie się w Czytelni akademickiej poranek uroczysty ku czci Marji Konopnickiej. Poranek, na którym będzie prof. Aleksander Brückner, wypełnią: Odczyt pióra Antoniego Potockiego o twórczości Jubilatki, następnie produkcje muzykalno-wokalne. Wstęp wolny.

Wczoraj w Czytelni dla kobiet odbyło się posiedzenie komitetu obszernego pod przewodnictwem p. Wechslerowej. Konopnicka przyjędzie do Lwowa dnia 25 bm. wieczorem i stanie w hotelu Europejskim. Uroczyste powitanie nastąpi na dworcu kolei, poczem młodzież urządzi ewentualnie pochód z pochodniami. Dnia 26 bm. odbędzie się główna uroczystość w teatrze miejskim. Uchwalono zaprosić naszą reprezentację miejską. W teatrze też wręczone będą jubilatce adresy. Po uroczystości odbędzie się raut w Kole literackim. Wstęp do teatru na uroczystość jubileuszową będzie bezpłatny. Rozdawnictwem biletów zajmie się specjalna komisja, do której zgłaszać się należy listownie lub ustnie (do Czytelni kobiet, przy ulicy Zielonej l. 4). Podczas uroczystości w teatrze panie sprzedawać będą programy z portretem Konopnickiej i jej sylwetką, którą skreśli pani Machczyńska. Czysty dochód ze sprzedaży programu przeznaczony na szkołę ludową.

Nowy klub w radzie miejskiej. Dowiadujemy się, że w łonie rady miasta Lwowa organizuje się nowy klub t. z. „centrum", złożony z żywiołów postępowych, ale umiarkowanych. Celem tego klubu i dążeniem będzie wyrównywanie różnic i trzymanie środka pomiędzy partją t. z. „Strzelnicy" a „klubem obywatelskim".

Nowy regulamin rady miejskiej. Wczoraj odbyła rada miasta Lwowa już trzecie posiedzenie nad sprawą nowego regulaminu dla rady, a dotąd załatwiono się dopiero z 18 paragrafami. Jeżeli tym torem pójdzie praca dalej, to można mieć nadzieję, że nowy regulamin rady ujrzy światło dzienne gdzie za jaki rok, lub półtora. Cała rozwlekła dyskusja, jaka się prowadzi nad poszczególnymi paragrafami i ustępami, robi takie na nieinteresowanych słuchaczach wrażenie, jakby się radzie miejskiej bynajmniej z regulaminem nie spieszyło i jakby całą sprawę istotnie chciano zwlec w nieskończoność. Nad lada głupiem słówkiem w stylizacji paragrafu lub ustępu, dyskutuje po kilku lub kilkunastu mowców, a niektórzy (jak ludowiec p. Czarnecki), uważają sobie za punkt honoru zabierać głos przy każdym ustępie, czy trzeba, czy nie. Trzeba nareszcie raz zrozumieć, że posiedzenia rady miejskiej nie są polem wyłącznie do popisów oratorskich, ale intenzywnej pracy. Tymczasem tydzień za tygodniem uchodzi, mowcy sadzą się na frazesy, bawią się w kondyfikatorów, a sprawy zalegają jak dawniej i to sprawy ważne. A potem jeszcze rzecz jedna, jeżeli jest posiedzenie zwołane dla regulaminu, należy już je wyłącznie tej sprawie poświęcić; tymczasem na takiem posiedzeniu stawia się wnioski nagle, interpelacje itp., a na ostatek bierze sprawę regulaminu. Najlepiej dla regulaminu jeden tydzień cały poświęcić i uchwalić go raz, a potem zabrać się na serjo do pracy nad sprawami bieżącemi.

Zdrowotność we Lwowie. Wciągu ostatniego miesiąca zgłoszono w fizykacie miejskim 43 wypadków szkarlatyny, z których 10 było śmiertelnych. Szczególniej grasuje ona w dzielnicy żółkiewskiej, a fizykat sądzi, że zawleczoną została z Kleparowa i Zamarstynowa. Dyrekcjom szkół im. Czackiego i św. Marcina polecono, aby pilnie baczyły na dziatwę do tych szkół uczęszczającą. Dwa chajdery na Żółkiewskiem zamknięto i poddano silnemu odkażeniu. Tyfusu brzusznego było ośm wypadków, z tego dwa śmiertelne. Trzy wypadki były zawleczone, a w jednych z tych zawleczonych wypadków dopiero po śmierci pacjenta skonstatowano tyfus plamisty. Koklusz wydarzył się jeden wypadek śmiertelny, dyfterji 11 wypadków z tego trzy śmiertelne.

Reforma grecko-kat. seminarjum duchownego we Lwowie, jak dowiadują się dzienniki ruskie, objęła nietylko wprowadzenie wzorowego porządku i karności pomiędzy wychowańcami, ale także nałożyła na nich pewne obowiązki, jakich dawniej nie mieli. Alumni muszą obecnie wstawać o godzinie 5 rano i natychmiast udają się do cerkwi seminaryjskiej na medytacje i godzinki. Reszta dnia wypełniona bez przerwy rozmaitemi praktykami. Nam to zatrudnianie kandydatów stanu duchownego praktykami duchownemi i ograniczenie wolnego czasu, który specjalnie w tym zakładzie użytkowano na libację i grę w karty, — wydaje się zupełnie słusznem. Inaczej atoli zapatrują się na reformę pisma ruskie, pozbawione agitatorskiego narybku. Nawet klerykalny *Ruslan* występuje z gorżkiemi żalami, twierdząc, że Rusini nie potrzebują ascetów, ale „ludzi światłych". *Ruslan* twierdzi, że zbyt ranne wstawanie szkodzi alumnom i niejeden zamierza już wystąpić z seminarjum, ostatecznie całą winę takiego przeciążenia przypisuje organ klerykalno ukraiński obecnemu rektorowi zakładu, ks. Chomyszynowi, któremu zarzuca, że proteguje Starorusinów z krzywdą dla alumnów z partji ukraińskiej. Oczywiście, dalecy jesteśmy od tej dyskusji, powiemy tylko, że dla ludu ruskiego więcej chyba pożądanymi byliby asceci, aniżeli ci „ludzi światli", jakich dotychczas wychowywało seminarjum ruskie.

Zimowy rozkład jazdy lwowskiego tramwaju elektrycznego, który z dniem 16 bm. wchodzi w życie, zdaje się uwzględniać przedewszystkiem spokojny tryb życia przeciętnego Lwowianina, zapominając atoli, że tramwaj elektryczny stał się bardzo ważnym i poważnym środkiem komunikacyjnym pomiędzy głównym dworcem kolei państwowych, a przystankiem na Wałach hetmańskich i że przewóz publiczności z pociągów kolejowych do t. zw. Kawiarni wiedeńskiej i odwrotnie, przewyższa w dochodach inne sekcje o bardzo poważne kwoty. Z tym też faktem i tą potrzebą powinna była dyrekcja tramwaju, ustanawiając zimowy plan jazdy, się liczyć.

Mamy tu przedewszystkiem na myśli bardzo ważne dwa pociągi, odchodzące o godzinie 7 rano z głównego dworca do Czerniowiec, o godzinie zaś 7·0 rano (według lwowsk. zeg.) do Stryja Borysława. Do tych pociągów powinien odchodzić wóz tramwajowy z Wałów hetmańskich o godz. 6·30 rano do dworca, skąd na odwrót zabierze podróżnych, przybyłych pociągiem osobowym z Krakowa o godzinie trzy kwadr. na siódmą rano.

I podczas dnia powinien być przystanek na Wałach hetmańskich uważanym jako punkt wyjścia wozów tramwajowych, trzymanych w rezerwie na przystanku, w wypadkach nadmiernego przepełnienia wozów, w kierunku do dworca i w go zinach, w których pociągi ze Lwowa odchodzą. Również i co do nocnych pociągów, należy uwzględnić pociągi osobowe, które przychodzą z Krakowa, ze Stryja i Czerniowiec, a które zwykle licznych podróżnych przywożą. Spodziewamy się, że dyrekcja tramwaju powyższe uwagi rozważy i oceniając swoje przedsiębiorstwo, jako łącznik miasta z koleją, plan jazdy na zimę uchwalony, odpowiednio zmieni.

Przesadna grzeczność. Jest rozporządzenie, że urzędy na pisma stron, mają na żądanie odpowiedzieć w tym języku w jakim podanie wniesione zostało. Lwowska dyrekcja poczt i telegrafów idzie jednak w stosunkach grzeczności do Rusinów dalej jeszcze. Przed paru dniami rozesłała redakcjom pism lwowskich cyrkularz po polsku o sposobie instradowania listów w okolicy Krakowa. Pismom ruskim ten sam cyrkularz został rozesłany w języku niemieckim, a adresowany po rusku i to tak dokładnie, że aż referent ruskiemi literami się podpisał. Jeśli dyrekcja poczt chciała już być tak lojalną wobec Rusinów, niechby była rozesłała pismo po rusku; ale dlaczego po niemiecku, to już chyba pozostanie tajemnicą wewnętrzną dyrekcji... Zapewne mniema ona, że nasi Rusini znają język niemiecki, ale nie znają polskiego. Oni też tak utrzymują.

Usłuchali! Handlarze owoców, obwożący je wózkami po ulicach, przeważnie, a niemal wyłącznie żydzi, długi czas prowadzili wojnę ze strażnikami miejskimi, którzy im tego niekoncesjonowanego handlu bronili; robili awantury na ratuszu i przed ratuszem, aż nareszcie uzyskali prawo wożenia po mieście owoców, pod pewnymi warunkami. Warunki te były bardzo skromne i żądano od nich w zamian za pozwolenie tylko czystości ich samych i wózków. Od odnośnej uchwały rady mija miesiąc, a nikomu z tych handlarzy ani się śni spełnić warunek. Owszem, jeżeli kiedy wózki te i ich właściciele mogli być jeszcze brudniejsi, to są nimi obecnie. Możeby „wolnomyślni" pp. radni, którzy tyle pięknych mów wygłosili w obronie tych biedaków, wpłynęli na nich, aby dotrzymali warunków.

Skandal nie do uwierzenia! Kiedy Prusacy gnębią Polaków i rugują z miejsc, zajmowanych przez nich, kiedy naród cały wysila się, aby swoich popierać, znalazł się pomiędzy nami magnat polski, który wszystkich oficjalistów w zarządzie ma Niemców. Przykre wrażenie odnosi podróżny, kiedy przejedzie przez wsi polskiego hrabiego Janusza Tyszkiewicza za Janowem koło Lwowa. Tablice w lasach i przy drogach niemieckie, a nawet kwity, wystawiane wieśniakom, po niemiecku pisane. Biedny chłop nie wie nieraz, za co go grabią, a wina tu w wydawaniu kwitów i asygnat niemieckich z pieczęcią: *Forst- u. Guts-Verwaltung.* Że tak jest, dowodzi załączony kwit. (Kwit ten, pisany po niemiecku i zaopatrzony niemiecką stampilją: *Forst- und Guts-Verwaltung Lelechówka*, mogą czytelnicy oglądać w oknie wystawowem naszej administracji. *Red.*). Oficjaliści Polacy, szukają nieraz miejsc, jako rządcy, kasjerzy, leśni itp., a nie mogą znaleść posady, bo w Lelechówce, Majdanie i Wereszycy tuczą się polskim chlebem niemieccy oficjaliści. Jeden p. F. wysłużywszy sporo lat i uciuławszy grosza, wyemigrował do ojczyzny swej, kupił sobie majątek w Styrji, wydał córki za Niemców poza Galicją, syna zaś, wychowanego wśród Niemców, pozostawił, jako swego następcę w Lelechówce. Duszą i ciałem Niemiec, p. T., prowadzi cały zarząd klucza jakby gdzie pod Berlinem w duchu *Vaterka*.

Przeciw ks. Stojałowskiemu. Biskup przemyski ks. dr. Pelczar, powołując się na to, iż ks. Stojałowski w djecezji przemyskiej bez pozwolenia i wbrew woli miejscowych pasterzy odważył się poświęcić uroczyście krzyże pamiątkowe, nakazuje rządcom kościołów djecezji w osobnem rozporządzeniu, aby nie dopuszczali ks. Stojałowskiego do ołtarza, jeżeli się nie wykaże osobnem pismem biskupa, że mu wolno, w tym, a w tym kościele, w tym, a tym dniu odprawić cichą mszę św. Prawienia kazań w obrębie djecezji zabronił ks. Stojałowskiemu śp. ks. biskup Solecki, a zakazu tego należy i na przyszłość ściśle przestrzegać. Gdyby w razie wzniesienia krzyża pamiątkowego w której parafji, część parafjan chciała wezwać ks. Stojałowskiego do poświęcenia krzyża lub wypowiedzenia mowy, to powinien rządca parafji oprzeć się temu stanowczo i donieść o tem bezwłocznie do ordynarjatu biskupiego w Przemyślu.

Nowa szkoła przemysłowa. W Kołomyi otwarto z dniem 21 z. m. nową szkołę przemysłową uzupełniającą.

Po długiem śledztwie w sprawie okradzenia Banku francuskiego na sumę 200.000 fr. w złocie, zdecydowano się wydalić naczelnika „wydziału gotówki" i naczelnika „wydziału banknotów" za niedostateczny dozór. Tymczasem złodzieje hulają na swobodzie i trwonią zapewne resztki owej sumy.

Trup w piecu. W jednym z osławionych hoteli nowojerskich, gdzie półświatek się zbiera, znaleziono trupa mężczyzny, którego kelner i odźwierny w piecu spalić usiłowali. Nieznośny dym, dobywający się z kaloryferów zwrócił uwagę przechodniów i ci dali znać do policji. Skonstatowano, że zamordowanym był pewien małomiasteczkowy fabrykant z pobliża Nowego Jorku, który do tego hotelu z jakąś dziewczyną zajechał, tam został znarkotyzowany i obrabowany. Ponieważ z narkozy więcej się biedak nie obudził, dla zatarcia zbrodni bandyci chcieli spalić trupa.

Wynalazca mordercą. Piszą z Nowego Jorku: Pewien 17-letni wynalazca hamulca powietrznego nagle z przepracowania dostał pomięszania zmysłów. W napadzie szału zabił matkę swą siekierą, a następnie trupa jej pociął na kawałeczki. Potem roztrzaskał czaszkę 12-letniej siostrze, zranił niebezpiecznie 18 miesięcznego braciszka i chciał jeszcze troje rodzeństwa zamordować. Jego brat najstarszy, który przybiegł na jęki mordowanych, powalił szaleńca na ziemię stolikiem i wtedy udało się nieszczęśliwego dopiero ubezwładnić.

Kobieta żywiona trawą. Straszna zbrodnia została ujawnioną w San Remo. Do wiadomości policji miejscowej doszło, że panienka z zamożnej rodziny jest więziona i poddawana torturom. Śledztwo zarządzone we wskazanym domu wykryło rzecz niesłychaną. Znaleziono w stajni młodą kobietę, leżącą nago w słomie. Żywiła się trawą i sianem, miała na ciele znaki od pobicia i rany, wyglądała strasznie, zdziczała niemal. Na widok ludzi zaczęła skomleć, jak zwierzę. Powoli wydobyto z niej zeznania. Przez trzy lata była zamknięta, spętana i żywiona trawą. Kilka osób zostało aresztowanych. Dotychczas powód takiego znęcania się jest niewiadomy.

Korespondencja redakcji. *P. T. M., Żółkiew.* Hajdamactwo inspektora Peleńskiego wytknęliśmy w porannem wydaniu *Dziennika* z dnia 15 bm. nr. 481.

Stan pogody w Europie. (Sprawozdanie centralnej stacji meteorologicznej w Wiedniu). Dnia 14-go, godzina 7 rano notują: Haparanda — 6·5, Uleaborg — 0·8, Petersburg 0·1, Stockholm 4·8, Warszawa 7·4 Moskwa — 3·5, Stornoway 12·3, Scilly 6·8, Isled'Aix 9·5, Paryż 4·9, Borkum 9·0, Keitum 9·3, Hamburg 6·4, Memel 4·7, Berlin 5·6, Monachjum 10·7, Bregencja 9·2, Praga 7·0, Wiedeń 12·5, Budapeszt 13·0, Hermanstadt 14·5, Sarajewo 12·3, Lesina 15·3, Tryjest 16·5, Florencja 14·6, Rzym 17·2, Neapol 19·7, Palermo 21·5. Na zachodzie Europy środkowej ciśnienie powietrza szybko się podniosło, przezco minimum istniejące przez Austro-Węgry posunięte zostało ku wschodowi. Odpowiednio do tego opady z małymi wyjątkami ustały. Rozchmurza się w ogólności. Temperatura opadła przeważnie. Prognoza: Przeważnie pogodnie i miernie ciepło.

—

* **Humorystyczny kalendarz Śmigusa** na r. 1903, ozdobiony prześlicznemi kolorowemi ilustracjami a odznaczający się bogatą częścią literacką, oraz wyczerpującym i dokładnym działem informacyjnym, mogą nabywać prenumeratorowie *Dziennika Polskiego* po wyjątkowo zniżonej cenie 35 ct. (70 hal.) wraz z przesyłką pocztową. Kieszonkowy kalendarzyk Śmigusa 10 ct. (z przesyłką pocztową 12 ct.

* **W Związku naukowo-literackim** tygodniowe odczyty się będą w soboty, zamiast, jak dotychczas we czwartki. Pierwszy odczyt odbędzie się w sobotę dnia 18 b. m. P. Bolesław Eulenfeld-Bolesławicz mówić będzie „O znaczeniu i zadaniach teatru ludowego". Początek o godzinie 8 wieczorem. — Odczyt p. Kasprowicza, zapowiedziany na czwartek dnia 16 b. m., zostaje odwołany.

Zmarli:

W Żywcu zmarł w 79 r. życia Wojciech Obtułowicz, b. burmistrz m. Żywca.

W Skawinie zmarła w 70 roku życia Henryka z Zawiszów Ocetkiewiczowa, żona naczelnika stacji kolei państwowych.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w środę: „Wesele", dramat w 3 aktach Stanisława Wyspiańskiego.

Jutro we czwartek: po raz pierwszy, „Śpiący rycerze", widowisko fantastyczne w 5 aktach z prologiem przez Sydona Friedberga z muzyką Michała Świerzyńskiego. Nowa wielka wystawa.

W piątek: „Świat na opak", fantastyczno-groteskowa operetka w 5 odsłonach K. Kapellera.

W sobotę: „Śpiący rycerze", widowisko fantastyczne.

W niedzielę: popołudniu o godzinie 3½ „Nadzieja", sztuka w 4 aktach Heyermannsa. — Wieczorem o godzinie 7½ Śpiący rycerze", widowisko fantastyczne.

W poniedziałek: „Weronika", operetka w 3 aktach A. Messager'a.

Repertoar Filharmonji lwowskiej. Jutro we czwartek, dnia 16 października, wielki koncert filharmoniczny, ze współudziałem Janiny Korolewicz Wayda i Józefa Śliwińskiego. Program: I. 1. Mozart: Uwertura z opery „Flet zaczarowany", odegra orkiestra: 2. Gounod: „Arja z klejnotami", z opery „Faust", odśpiewa J. Korolewiczowa; 3. Rubinstein: Koncert V (op. 94), odegra Józef Śliwiński. II. 1. Fibich: Poemat symfoniczny „Wieczorem", odegra orkiestra; 2. Chopin: a) Nokturn, b) Walc, c) Mazurek, d) Balada, odegra J. Śliwiński. III. 1 Czajkowski: „Pieśń bez słów", odegra kwintet smyczkowy orkiestry; 2. a) Noskowski: „Smutno", b) Niewiadomski: „Jakże cię mam brać dziewczyno", c) Paderewski: „Dudarz", odśpiewa Janina Korolewiczowa; 3. Liszt: Rapsodja nr. 7.

W sobotę, dnia 18 października, koncert popularny.

Z Filharmonji. Jutrzejszy koncert Filharmonji budzi wielkie zainteresowanie z powodu występu znakomitego pianisty, Józefa Śliwińskiego i pani Korolewicz Waydy, artystki opery warszawskiej. Dziś wieczorem odbędzie się próba generalna koncertu. Program bardzo umiejętnie ułożony, wypełniają utwory Mozarta, Gounoda, Rubinsteina, Fibicha, Chopina, Noskowskiego, Niewiadomskiego, Paderewskiego. Jako ostatni punkt programu, odegraną zostanie: Pierwsza Rapsodja Liszta. P. Śliwiński wystąpi w Filharmonji tylko raz jeden, gdyż już w sobotę Lwów opuszcza.

„Mężczyznę", dramat pani Gabrjeli Zapolskiej, wystawiono onegdaj w teatrze polskim w Poznaniu. Recenzent *Kurjera poznańskiego* wypowiada następującą opinję o tym, znanym także we Lwowie, utworze utalentowanej autorki:

„Dramat Zapolskiej ma pod każdym względem cechy dramatu nowoczesnego, a mianowicie: jątrzy on, roznamiętnia i denerwuje tak, że znękany pracą i życiem widz, nadaremnie szuka w nim chociażby tylko — rozrywki, nie mówiąc już o podniesieniu ducha. Obok płytkiej analizy duszy ludzkiej, znajdujemy w dramacie tym tyle smrodliwych śmieci i ran cuchnących, że widz ze wstrętem odwraca się od tego obrazu. Idąc jednakże śladem modernistów, urozmaiciła Zapolska obraz ten mnóstwem szczegółów z dziedziny zmysłowości najniższego kalibru, tak, iż tylko sensacji żądna gawiedź, nie szczędzi jej oklasków w szale roznamiętnienia zmysłowego. Mianowicie sytuacja końcowa aktu pierwszego, jest w rost wstrętna i obrażająca wszelkie poczucie przyzwoitości."

Krytyka lwowska znacznie łagodniej obeszła się była z „Mężczyzną", a pani Zapolska tak bardzo pogniewała się na recenzentów tutejszych!

Wóz słońca. Niezmiernie ważne i jedyne w swoim rodzaju wykopalisko, wzbogaciło archeologję historyczną. Oto pewien wieśniak w Seelandji orząc pole (niegdyś Trundholmskie moczary) natrafił na części świętego wozu słońca. Spód składa się z wozu bronzowego umieszczonego na 3 parach kół. Na wozie znajduje się koń z bronzu, za wozem wyobrażenie tarczy słonecznej, równie z bronzu, z jednej strony silnie pozłoconej: pod szyją konia i na krawędzi tarczy słonecznej, są przyrządy na włożenie wstęgi. Koń ciągnął przeto tarczę za sobą. Bogate koliste i spiralne ornamenty na tarczy, dowodzą, że wykopalisko należy do epoki starszej bronzowej, a więc przypada na rok najpóźniej 1000 przed Chrystusem: jest to robota duńska, albo norwegska. Jak wiele innych świętych, a kosztownych przedmiotów, znajdywanych w Danji, był ten wóz słońca ofiarą dla bogów i według panującego zwyczaju, pogrzebotany na kawałki, wrzucono go do bagna. Tu w ciągu kilku tysięcy lat, porosły te części grubą warstwą roślinną. Wspaniałe to wykopalisko złożono w narodowem muzeum duńskiem w Kopenhadze.

Filharmonja lwowska.

W lipcu 1829 roku Feliks Mendelssohn-Bartholdy, dwudziestoletni wówczas młodzieniec, zwiedzając w Szkocji ruiny zamku Holyrood, zamieszkałego ongi przez Marję Stuart, tak się przejął losami tej nieszczęśliwej królowej, że postanowił obraz jej życia i cierpień rozniecony bujną fantazją artysty, skreślić za pomocą tonów. I tak powstała pierwsza osnowa symfonji a-moll, zwanej „szkocką", już trzeciej z rzędu tego młodego mistrza. Rozpoczynające „allegro agitato" zawiera obok pewnej melancholji tyle wzruszających akcentów i cierpień i jakiejś walki wewnętrznej, że stawia nam żywo przed

---

onegdaj. — Wie pan, powiadam — że z Kazią bardzo źle?

— Źle, odpowiada, a może dobrze. Ukochani przez bogów umierają młodo! Zresztą, proszę pani, na bruku się wrzosy nie hodują! Fiut, stróż miotłą w rynsztok zmiecie, kwiaty zawsze tak kończą! Powiedziałam mu parę słów prawdy, ale, czy który artysta ma sumienie!

— Jutro pogrzeb?

— Jutro! Strasznie mi nie na rękę, bo mam masę roboty! Biedactwo — nie użyła ostatków. Telefonowałam do Julka, żeby wieniec posłał, najdroższy jaki jest! Ogromnie ją kochałam!

. . . .

O zmroku wprost z dworca przyjechała Ramszycowa i zadzwoniła do Sanickich.

Po twarzy służącego domyśliła się prawdy, spytała o prezesa.

— Leży chory.

— A młodszy pan?

— Wyszedł z panem Szpanowskim.

Ramszycowa rzuciła kartę i poszła na górę do Downara. Tam przedewszystkiem spytała, czy pani jest, a na odpowiedź przeczącą, weszła bez meldowania do gabinetu, wołając:

— Powiedźcie mi, gdzieście byli i co warta wasza głupia nauka, żeby jej dać umrzeć?

Downar siedział w fotelu u biurka, a w cieniu w kącie był ktoś jeszcze.

Downar powstał i powitał ją i za całą odpowiedź ramionami tylko ruszył.

— Nie chciałam wierzyć, żeby ona tak młoda, tak silna, tak zdrowa, mogła tak zgasnąć! To straszne.

— A może jeszcze bardziej niepodobne, że tak długo żyła! Lepiej jej teraz! Czy to szczęście kilkadziesiąt lat umierać, bo co innego jest życie? Ale teraz nie znajdzie pani łatwo takiej do pracy towarzyszki. Żeby taką nasz brat Laszkę dostał pod Rosienie, toby inaczej szanował i pilnował, ale dla tutejszych za dobra była! Trzeba było zamęczyć dla dogodzenia karnawałowi. Jeszcze nie jedna przyjaciółka w duchu jej złorzeczy, że popsuła pogrzebem ostatki. Kukły!

Ramszycowa usiadła i zadumała się.

— Nie marzę nawet, by ją ktoś w mem sercu i uznaniu zastąpił, ale żywi żyją i trzeba o nich myśleć. Ostatni od niej list miałam, że doktor Rajewski nas opuścił! Mała szkoda, nie cierpiałam go, ale musimy szukać zastępcy.

— Ona pani już i tego kłopotu oszczędziła. Sama wybrała zastępcę. Ot, tu jest właśnie kolega Bogucki! Od dziesięciu dni już ordynuje.

Ramszycowa spojrzała badawczo nań. On się milcząco ukłonił, a Downar dodał:

— Dziś, właśnie przed chwilą, mówiliśmy z nim. Dziwak jest, stawia warunki,

— Jeśli pana Boguckiego wybrała pani Sanicka, z góry na nie przystaję!

— Będzie pracował miesiąc w pani zakładach na próbę! Jeśli pani dogodzi, chce dostać odrazu dziesięć tysięcy rubli!

— Rozumiem! Instalacja i małżeństwo!

— Nie pani. Będzie mieszkał przy lecznicy, jeden pokoik mu wystarczy i żenić się nie myśli. Ma dużą, bardzo liczną rodzinę! To dla nich.

— Powtarzam, jeśli pani Sanicka na to się zgadzała, ja przystaję.

— Pani Sanicka tego chciała! — rzekł poważnie Downar. A ja pani za tego kolegę ręczę, jak ojciec za syna.

— Będziemy tedy razem pracować! Tylko już jej nie będzie z nami! — westchnęła Ramszycowa.

I jej, tak trzeźwej, zmętniały na chwilę oczy, a nie rada temu, zerwała się, uścisnęła w milczeniu dłonie obu mężczyzn i wyszła.

Żeby nie mąż, zapomniałaby zupełnie o wieńcu.

. . . .

Nie miała Kazia szczęścia do końca. Nawet jej pogrzeb dał Warszawie powód do krytyki i wyrzekań. Bo śnieg walił od południa, formalna zadymka.

Z jej racji niszczono tualety, z jej racji musiano najmować karety i przepłacać dorożki, bo o pieszej wędrówce, choćby do pierwszego rogu, mowy być nie mogło, a wszyscy ubolewali nad Andrzejem, który iść musiał za karawanem.

Ale pogrzeb był wspaniały, to przyznano jednogłośnie, musiał kosztować tysiące, ale ośleby był efektowniejszy w pogodę!

A tak pieszo szła tylko hołota, gapie zapewne i rzezimieszki. Ale skąd się tego tyle nabrało na ten psi czas. O pierwszej już tłum był przed kościołem, tłum źle odziany, może dlatego obojętny na śnieg i ziąb. Zapchał chodnik, wylał się na ulicę, otoczył mrowiem karawan, tamował ruch tramwajów.

Nareszcie ustawiono trumnę i pogrzeb ruszył.

Szedł za karawanem Andrzej i Szpanowski i to mrowie szare, tłum bezimienny, a za nim dopiero karety i dorożki. Po drodze ubyło karet i dorożek, ale tłumu nie ubyło i czerń ta doprowadziła Kazię wiernie do kresu życiowej wędrówki. A śnieg wciąż padał, słał jej swe białe kwiaty.

Powązki pochłonęły trumnę i eskortę, a po niedługim czasie zwróciły żywych. Tłoczono się u bramy, siadano napowrót do powozów, mówiono już o potocznych sprawach. Markhamowie młodzi ustąpili swej karety starym Dąbrowskim, wracali dorożką.

— Szczególne, co się z Tunią stało? — dziwiła się Emilka.

— A oto dopiero jedzie! — zaśmiał się Markham.

Zatrzymali się. Jednokonką jechała Tunia, zasapana i ziajana, jakby sama ciągnęła wehikuł.

— Rany Pańskie! Gdzie Julek? — wołała.

— Pojechał z Andrzejem karetą.

— Macie państwo, a ja się spóźniłam, bo chciałam razem jechać! Czekałam na niego, telefonowałam na wsze strony. Ano, siadam z wami, już biedaczce na prawdę nic nie pomogę. A wianek nasz widzieliście? Opowiedźcie mi, kto był? A mowy były? Jakże? Płakał kto? A Ramszycowa dała wianek? Tak żałuję, żem się spóźniła, ale to Julka wina. Tak się spieszyłam, nawet nie karbowałam włosów. Co prawda, na tę pogodę, ani uczesania, ani tualety nikt nie zauważy. Jakże Andrzej się zachowywał? Wiecie, już gadają, że ona umarła z desperacji, że on za Jarłową lata. Nie dam trzech groszy, że się pobiorą. Serdeczny mi żal Kazi. Dobre było stworzenie, poczciwe, ale brakło jej sprytu kobiecego! Nie umiała wyrobić wokoło siebie sympatji i miłości. Ale, nie uważaliście — Radlicz był?

— Nie. To bardzo niestosowne. I Downara nie było.

— A bo się zaraz po śmierci przemówili ostro z Andrzejem i zerwane stosunki! A wiecie, z kim zaręczona Majerówna?

Rozmowa przeszła na temat wspomnień karnawałowych, o Kazi nie było wzmianki. Żywi wrócili do żywych i życia.

Następnej jesieni nad grobem stał posługacz cmentarny i robotnik od kamieniarza, brał rozmiar na nagrobek. Rozmawiali sobie przytem, ćmiąc papierosy.

— To mąż pomnik stawia?

— I, i, i, gdzie zaś! Jakiś stary, siwy! Ojciec pewnie. Bogaty! Siedmset rubli płaci!

— Aha — to ten, co wczora był na mogile, kazał ją oprzątnąć. Tylem miał dochodu!

Kazimierz trącił nogą szkielet bukietu, jakieś badyle suche.

— Przecie ktoś mail?

— Nie widziałem, kto. Miotlę ci jakąś przynieśli. Wziął do rąk badyle i roztarł je w palcach.

— Wrzos leśny! Żadna parada. Za dziesiątkę dostanie! Ktości na ofiarę nie zbankrutował. A ja, tom grosza nie dostał...

KONIEC.

oczyma obraz tej wielkiej tragedji królewskiej...

Niestety! niezwykle żywe usposobienie i chęć podróżowania nie dozwoliła Mendelssohnowi korzystać całkowicie z odniesionego wrażenia, gdyż nad dalszemi częściami tej symfonji pracował dopiero w latach następnych i to w Rzymie, mając już pełną głowę nowych, włoskich melodji, — wykończył zaś ją ostatecznie dopiero w roku 1842 w Lipsku, gdzie nią dyrygował w koncercie Gewandhausu. Nadzwyczajne powodzenie tego dzieła spowodowało zaproszenie autora przez towarzystwo filharmoniczne do Londynu, a przedstawiony młodziutkiej wówczas królowej Wiktorji uzyskał pozwolenie ofiarowania jej tyle rozgłośnej kompozycji. Tak więc dziwnym zrządzeniem losu symfonja, poczęta pod wrażeniem cierpień nieszczęśliwej królowej szkockiej, została dedykowaną królowej angielskiej.

Takie są dzieje powstania tej trzeciej symfonji Mendelssohna, granej na wczorajszym koncercie symfonicznym, a ponieważ dyrekcja Filharmonji dotychczas jeszcze nie zaprowadziła programów tzw. „opisujących" na wzór wszystkich zagranicznych towarzystw filharmonicznych, przeto mam nadzieję, że tych parę słów, tyczących się tej sławnej zresztą symfonji zostaną chociaż „post festum" przez publiczność uczęszczającą do Filharmonji mile przyjęte.

Wykonanie symfonji było nierówne. Niektóre szczegóły wyszły znakomicie, inne zaś pozostawiały jeszcze wiele do życzenia, głównie pod względem czystości tonu i jednolitości w atakowaniu każdego nowego frazesu. Całość była wziętą w nieco za powolnem tempie mianowicie część druga i czwarta, które przecież noszą tytuły: „Scherzo assai vivace" i „allegro guerriero".

Wogóle wszystkie grane wczoraj utwory posiadały zanadto wolne tempo i wspaniała uwertura Dworzaka „Karnawał", którą radzibyśmy słyszeli raz jeszcze i uwertura do „Tannhausera", wykonana na ogólne życzenie zamiast zapowiedzianej na programie uwertury do „Wilhelma Tella" Rossiniego i nawet Saint-Saënsa sławny „Danse macabre". Mianowicie ten ostatni wykonany został tak jakoś — passez-moi l'expression — ospale, że nie mogliśmy ukryć naszego zdziwienia: co się stało z temperamentem p. Czelańskiego? Czyżby znużenie jego wskutek nadmiaru pracy było już tak wielkie?

Jednakowoż, bądź co bądź, widać było wczoraj w orkiestrze tę usilną pracę jej znakomitego dyrygenta, gdyż wiele bardzo trudnych ustępów odegranych było świetnie. Parę tygodni jeszcze, a zespolona zupełnie orkiestra może dojść do szczytu doskonałości. Dość licznie zebrana publiczność — co dowodzi coraz większego zainteresowania się poważną muzyką — umiała także ocenić pracę i talent p. Czelańskiego wręczając mu prześliczną lirę z kwiatów ułożoną, oraz oklaskując z zapałem wykonanie wszystkich utworów.

Jan Skrzydlewski.

Dziwna gospodarka fudacyjna.

(Zakład im. Bilińskich).

Piękna ta fundacja dla nieuleczalnie chorych jest ciągle jeszcze bez należytego zarządu. O sposobie używania tego zakładu ciągle decyduje jeden tylko człowiek, bo ustanowiona przez radę miejską komisja, która ma właściwie zarządzać zakładem Bilińskich, nie chce się do całej tej sprawy mięszać, aby nie spotkać się z przykrościami, o jakie tam w dzisiejszych stosunkach bardzo łatwo. Stosunki te zmienić się mogą stanowczo dopiero wtedy, gdy zatwierdzony będzie statut, w którym wyraźnie określone jest prawo gminy do zarządu fundacją Bilińskich. A niestety, lata biegną, lecz statut jeszcze nie załatwiony i namiestnictwu nie przedłożony. Zwłoka ma swą przyczynę w tem, że statut ma określić także sferę wpływu wydziału krajowego i konsystorza metropolitalnego obrz. łac. Gmina odniosła się przed rokiem do konsystorza i wydziału krajowego o wyznaczenie delegatów dla narady w celu określenia tej sfery wpływu. Konsystorz delegatem zamianował ks. prałata Lenkiewicza, natomiast **wydział krajowy delegata po dziś dzień nie wyznaczył, jakkolwiek gmina urgowała już o to!!** Z tego więc powodu samowładne rządy obecnego dyrektora zakładu Bilińskich trwają nadal z ujmą dla dobroczynności publicznej, z krzywdą dla intencyj fundatora. Fundatora bowiem zamiarem było dać w zakładzie schronienie ludziom nieuleczalnie chorym i zupełnie niemającym środków do życia, albo posiadającym tylko środki tak skąpe, że istnienie przy ich pomocy nie jest dla zdrowych możliwem, a cóż dopiero dla chorych nieuleczalnie, potrzebujących zatem opieki umiejętnej i starannej, zdrowego mieszkania i pożywienia.

Tymczasem zaś dzisiaj do zakładu Bilińskich przyjmuje i stamtąd wydala sam pan dyrektor i oto dzięki temu znajdują tam pomieszczenie ludzie, którzy posiadają niezgorsze środki utrzymania, a płacą za świadczenia ze strony zakładu tak mało, że jeszcze mają wiele do dowolnego użytku. A równocześnie legjony nieuleczalnie chorych, najautentyczniejszych nędzarzy, którzy nietylko żadnej pensji nie mają, ale nawet jałmużny wyprosić sobie nie są w stanie, leżą pokotem na podłodze sąsiedniego zakładu, pawilonu miejskiego dla nieuleczalnych. W pięknych zaś salach zakładu Bilińskich jest po kilka osób, w niektórych nawet nie ma nikogo.

Kiedyż więc formalności będą zakończone? i kiedy nastąpią rządy właściwe? Kiedy będzie kres temu przedrzeźnianiu intencyj filantropa i uczuć ludzkości?!

Izba sądowa.

Lwów 15 października.

(Pijawka upadłych kobiet).

Są na ciele naszego społeczeństwa rany tak straszne i tak ohydą swojej zgnilizny okropne, że choćby z estetycznych tylko względów zakrywamy je troskliwie, aby naszych oczu nie raził ich widok. A pod tem okryciem, rany te ropią się i gniją co raz bardziej, nikt ich nie leczy, nikt leczniczego nie przyłoży do nich plastra, a od czasu do czasu tylko, zimny skalpel prokuratora lub poljcji odrzyna cuchnące kawałki odpadającego od kości ciała i rzuca w śmiecie.

Przed trybunałem zwykłym sądu karnego pod przewodnictwem radcy **Podlaszeckiego**, przewinął się szereg istot upadłych moralnie, zrujnowanych fizycznie i zupełnych nędzarek, drżących na samo spojrzenie pani ich życia i doli, ich t. zw. gospodyni, co ich młodość, urodę i zdrowie na targ wystawia.

Prokuratorja państwa oskarża Fajgę **Stark**, właścicielkę domu rozpusty o lichwę i kradzież. Brała ona od swojej pieczy powierzonych dziewcząt po 30 halerzy procentu za każdą koronę, bez względu na to, czy dług nazajutrz, czy aż za tydzień jej zwrócono. Zwrotu długu mogła być pewną, gdyż dziewczęta oddawać jej musiały cały swój zarobek do ostatniego grosza, z odebranych zaś pieniędzy, odliczała sobie gospodyni nasamprzód należytość za wikt i mieszkanie, potem odciągała długi, a za resztę kupowała im sama bieliznę i garderobę, tak, że nieszczęśliwe niewolnice, nigdy ani grosza nie posiadały. Od pożyczonych kwot pobierała, a raczej odciągała sobie Starkowa po 80, 102, 184, **1560, a nawet 3476% lichwy.**

Prócz tego, wyzyskiwała ich w sposób straszliwy przy zakupnie garderoby, za tandetne n. p. trzewiki, liczyła im po 20 koron za parę, za sukienkę po 100 koron itd. Jednej z dziewcząt sprzedała zegarek srebrny wart. 6 koron i łańcuszek wartości 30 koron, razem więc wartości 36 kor., za koron 120.

Oskarżona tłómaczy się, że od dziewcząt nigdy żadnych pieniędzy ani procentów nie żądała, a dawały je jej one zupełnie dobrowolnie.

Niewolnice Starkowej przesłuchiwane w charakterze świadków, oświadczają, że nie czują się przez Starkową pokrzywdzonemi. Procent 60 halerzy od 2 koron za dwa dni, wydaje się im czemś zupełnie słusznem i naturalnem, gdyż, jak mówią „tyle procentu płaci się każdej gospodyni" i każda gospodyni wyzyskuje tak samo przy kupnie garderoby.

Po przeprowadzonej rozprawie ogłosił przewodniczący wyrok trybunału, mocą którego oskarżona Fajga Stark uznaną została winną występku lichwy w kilku wypadkach i skazaną za to na: 2 miesiące ciężkiego więzienia, 200 koron grzywny, zwrot kwoty 6 koron za ukradziony zegarek i poniesienie kosztów postępowania karnego.

Ponieważ wyzyskiwane przez Starkową ofiary żadnego odszkodowania nie żądały, sąd nie przyznał go im.

Kraków 14 października.

(Epilog głośnego procesu).

Przed sądem apelacyjnym pod przewodnictwem starszego radcy sądu krajowego karnego p. Wawrauscha, odbyła się dziś rozprawa przeciw Tadeuszowi Armatysowi. Oskarżony skazany został przed dwoma miesiącami wyrokiem sądu powiatowego karnego na 6 tygodni więzienia za uwiedzenie nauczycielki Józefy Słowińskiej, która za zbrodnię dzieciobójstwa stawała przed sądem przysięgłych w czerwcu br. Jak w swoim czasie w sprawozdaniu z tej sensacyjnej sprawy donieśliśmy, sędziowie przysięgli 12 głosami uwolnili Słowińską, gdyż rozprawa wykazała, że padła ona ofierą uwodziciela. Następnie Słowińska przez swego adwokata dra Lewickiego wniosła skargę przeciw Armatysowi, a sąd wymierzył mu wyżej wymienioną karę. Skazany wniósł rekurs przeciw wyrokowi, a dzisiaj odbyła się rozprawa apelacyjna. Oskarżenie podtrzymywał zastępca prokuratora dr. Pawłowski, Armatysa bronił adwokat dr. Szalay. Rozprawę, dla wezwania klasycznego świadka, tj. Józefy Słowińskiej i jej matki, odroczono.

O ile nam prywatnie wiadomo, bohaterka smutnej tej sprawy znajduje się w Nowym Jorku, gdzie niezadługo po uwolnieniu wyjechała.

Usiłowane otrucie profesora lwowskiego uniwersytetu.

Lwowską policję zajmuje teraz niezmiernie tajemnicza sprawa.

Profesor lwowskiego uniwersytetu, dr. Władysław **Niemiłowicz**, zamieszkały w gmachu kliniki, przy ul. Piekarskiej, ma zwyczaj wypijania na noc szklanki słodkiego mleka. Tak samo było i wczoraj. Wieczorem, pościelił służący profesorowi na sofce w gabinecie fizycznym, ustawił na stoliczku szklankę mleka, świecę, zapałki i odszedł.

O godzinie kwadrans na 11 w nocy, powrócił profesor ze spaceru, zaświecił światło, przeszedł się kilka razy po gabinecie, rozebrał potem i położył na sofce. Czytał jeszcze czas jakiś naukowe jakieś dzieło, wreszcie, kiedy mu się już oczy do snu kleić poczęły, odłożył książkę i sięgnął po napełnioną mlekiem szklankę.

Podniósł ją do ust i mały haust jeden pociągnął.

Po przełknięciu płynu, uczuł profesor w ustach gorżki jakiś posmak, wziął więc napowrót szklankę do ręki i począł badać jej zawartość najpierw zmysłem powonienia a potem smaku, kosztując mleko kroplami. Było ono istotnie nienaturalnie gorzkawe, i wobec tego, postanowił profesor zbadać je bliżej.

Kiedy przelał zwolna płyn do innego naczynia, zauważył na dnie szklanki z mleka gęsty jakiś osad. Przyglądnął mu się bliżej, wziął w palce i — włosy stanęły mu na głowie.

Osad składał się z podłużnych kryształków najzjadliwszej trucizny, **strychniny.**

Rzecz prosta, o spaniu i mowy już nie było. Zaordynowawszy sobie antidota jakie tylko miał pod ręką, profesor przepędził noc niespokojnie. Rano poddał ów osad chemicznemu rozbiorowi i analiza wykazała, że była nim strychnina istotnie.

Życie swe zawdzięcza profesor tej tylko okoliczności, że bardzo mało połknął mleka i to wtedy, kiedy strychnina nie miała czasu jeszcze się rozpuścić.

Dziś czuje się profesor zdrowym i prócz słabego ucisku w karku, żadnych innych nie odczuwa dolegliwości.

* * *

Sprawa cała przedstawia się tembardziej zagadkowo, ileże profesor nie wie wcale jakiemi motywami kierowany był truciciel, nie ma też wyobrażenia, komu zależeć mogło na otruciu go.

Policja aresztowała wprawdzie służącego profesora, Antoniego Sawickiego, który ową fatalną szklankę mleka na stole postawił, brak jednak podstaw do przypuszczania, że on to właśnie truciznę wsypał. Wykluczonem jest także, by ktoś trzeci bawił wczoraj wieczorem w fizycznym gabinecie, gdyż dwa tylko są doń klucze, z których jeden był w ręku profesora, drugi służącego.

Tak więc sprawa jest mocno zagadkową i tajemniczą i policja mieć będzie z wykryciem truciciela twardy orzech do zgryzienia.

Zarys ustawy językowej.

(Tel. Dz. Polskiego).

Wiedeń 15 października. *N. W. Journal* ogłasza rozmowę z p. Heroldem o zarysie ustawy językowej, przedłożonym przez dra Koerbera delegatom czeskim i niemieckim. Dr. **Herold** oświadczył z całą stanowczością, że zarys ten nie może nawet być poddany bliższej rozwadze, a to z dwóch powodów. Po pierwsze zarys ten okazuje się niejako kodyfikacją języka niemieckiego, czy to jako państwowego, czy jako pośredniczącego. Jakkolwiek tego wyrazu tam nie ma, to jednak wynika to z tekstu ustawy. Powtóre postanowienia o używaniu języka czeskiego w służbie urzędowej zewnętrznej zawierają daleko idące ograniczenia i poszły poza Stremayerowskie rozporządzenia językowe.

Naszą taktykę — mówił dalej dr. Herold — nie czynimy zawisłą od rozwiązania ustawy językowej, gdyż wiemy, że ustawa taka nie może być załatwioną przez noc, ale czynimy ją zawisłą od niektórych specjalnych kwestyj, a mianowicie od restytucji praw dla języka czeskiego w czeskich okręgach. Od załatwienia tego postulatu zależy nasza taktyka w przyszłości. Od tego odstąpić nie możemy, gdyż tego domaga się naród cały, a nawet przyłącza się do niego umiarkowana szlachta konserwatywna.

Zanim ugoda austro-węgierska wejdzie na porządek dzienny, a nie stanie się to tak predko, jak nawet myślał dr Koerber, domagamy się tej sprawiedliwości. Od tego też, czy żądanie to nasze będzie spełnione, czynimy zawisłem nasze stanowisko. Publikacja zarysu p. Koerbera może tylko wpłynąć na przyspieszenie ostatecznego rozwikłania całej sprawy.

DEPESZE telegraficzne i telefoniczne.

Budowa dróg wodnych.

Wiedeń 15 października. Wczoraj odbyło się posiedzenie subkomitetu technicznej komisji przybocznej rady dla budowy dróg wodnych. Przewodniczył poseł Kaftan. Po długiej dyskusji, która toczyła się na podstawie przedłożonego przez dyrekcję dla budowy dróg wodnych *exposé*, uchwalono propozycje tej dyrekcji w sprawie głównych pomiarów dla mających być wybudowanymi kanałów i w sprawie rozpisania konkursów na dźwignie do podnoszenia statków. Referentem subkomitetu dla komisji technicznej wybrano radcę dworu prof. Schöna.

Z sejmu węgierskiego.

Budapeszt 15 października. Przy zagajeniu dzisiejszego posiedzenia zauważono powszechnie, że tak urzędnicy izby, jak i służba są bardzo niespokojni i nerwowi. Powodem tego, jak się wkrótce okazało, było to, że przed otwarciem posiedzenia prezydjum otrzymało anonimowe pismo, jakoby pod trybunę prezydenta podłożono bombę i że również z galerji mają być rzucone bomby. Policja wysłała 20 detektywów, którzy przeszukali cały gmach, ale nic znaleźli nic podejrzanego. Zdaje się więc, że był to niewczesny żart.

Budapeszt 15 października. Na dzisiejszem posiedzeniu sejmu dep. **Nessy**, ze stronnictwa koszutowskiego, wniósł do prezydenta gabinetu p. Szella interpelację, czy p. Szell zechce podać przyczyny, dla których monarcha nie wziął udziału w uroczystości odsłonięcia pomnika króla Macieja w Klausenburgu i dlaczego członkowie rodziny cesarskiej nie przyjęli zaproszeń.

Dalej zapytują interpelanci, czy nie byłoby wskazanem, aby zaniechano grania hymnu cesarskiego na placach publicznych, gdyż to wywołuje niepokój i oburzenie publiczności i może być przyczyną niemiłych następstw.

Generałowie boerscy w Europie.

Paryż 15 października. Wczoraj wieczorem odbyło się wielkie zgromadzenie na cześć generałów boerskich w gmachu nowego teatru. Po przemówieniu prezydenta komitetu dla niezawisłości Boerów, zabrał głos generał Botha, który dziękował Francji imieniem narodu boerskiego za przyjęcie Krügera w swoim czasie, o czem Boerzy dowiedzieli się, zdobywszy pociąg, który wiózł tę wiadomość i za wysłanie francuskich ambulansów.

W ciągu swej mowy wyraził gen. Botha podziw dla dzielnego Francuza, Villebois Mareuil, który zginął, otoczony tysiącami wrogów.

Gdy generał Botha wspomniał o obozach koncentrancyjnych i niszczeniu farm, dały się słyszeć okrzyki oburzenia.

Botha taksuje szkodę, którą Boerowie ponieśli w czasie wojny, na 1.500,000.000 franków. Na pokrycie tego ofiaruje im rząd angielski tylko 75 000 000 franków. Apelujemy do Europy — zakończył Botha swą mowę — nie, by uzyskać polityczną interwencję, lecz o pomoc materjalną.

Następnie zabrał głos gen. Dewet, który między innemi powiedział: „Nie jestem wcale Napoleonem. (Okrzyki: Pan jesteś bohaterem) Pozostaniemy wierni naszemu słowu danemu Anglji i spodziewamy się, że Europa o nas nie zapomni. W końcu dziękował za życzliwość Francuzów dla Boerów.

Po przemówieniach urządzili zebrani składkę, która przyniosła 5 870 fr.; wręczono generałom boerskim medal pamiątkowy.

Licznie zgromadzona publiczność witała na ulicach miasta owacyjnie wodzów boerskich.

Z trybunału państwowego.

Wiedeń 15 października. Trybunał państwowy obradował dziś pod przewodnictwem prezydenta Ungera nad zażaleniem dra Chvarschetza, który wniósł był podanie w języku słoweńskim do magistratu miasta Cylei. Gdy jednak tego podania nie uwzględniono, ponieważ było napisane w języku słoweńskim, dr. Chvarschetz wniósł zażalenie do wydziału krajowego styryjskiego, który jednak zatwierdził rozstrzygnięcie magistratu cylejskiego. Wtedy dr. Chvarschetz wniósł zażalenie o naruszanie ustaw zasadniczych do trybunału państwowego, który dziś to zażalenie uwzględniło, powołując się na ust. 2 art. 19 ustaw zasadniczych, która nakazuje wszystkim władzom krajowym przyjmować podania wniesione w jednym z języków krajowych.

Uroczystość Kościuszkowska.

Kraków 15 października. Z powodu rocznicy śmierci Tadeusza Kościuszki, odprawił dziś o godzinie 11 rano ks. kan. dr. Stanisław Spiss, uroczyste nabożeństwo. Kazanie wygłosił ks. Bandurski. W nabożeństwie wzięli udział: prezydent miasta, rada miejska, Towarzystwo im. Kościuszki i młodzież szkolna. Grobowiec Kościuszki w grobach królewskich przybrano kwiatami i oświecono lampami.

Miljonowa defraudacja w Pradze.

Praga 15 października. Wydział towarzystwa księży czeskich uchwalił po dłuższej naradzie przystąpić do sanacji Kasy zaliczkowej im. św. Wacława. W tym celu też wystosuje petycję do Ojca św. z prośbą o pomoc. *Narodni Listy* donoszą, że jeden z właścicieli książeczek wkładkowych zażądał otwarcia konkursu do majątku Kasy, a to z tego powodu, że termin wypowiedzenia jego książeczki minął, a on zwrotu wkładek nie otrzymał.

Strejk górników we Francji

St. Etiennes 15 października. Towarzystwo zecerów zaprzecza, jakoby zecerzy przyłączyli się do strejkujących.

Dział ekonomiczny.

Wiedeń 15 października.

(fr.) Przy niewielkich obrotach utrzymuje się silna tendencja na targu tutejszym bez zmiany. Strejki węglarzy w Ameryce i Francji zaczynają już oddziaływać także na stosunki monarchji austro-węgierskiej. Z Pesztu donoszą, że ajenci amerykańscy pertraktują właśnie z węgierskiem towarzystwem, mającem kopalnie w Totis o zakupno 10000 wagonów węgla z bezzwłoczną dostawą. Także w Niemczech zakupili Amerykanie 100.000 ton węgla po cenie $4\frac{1}{2}$ dolarów za tonę loco kopalnia t. z., że koszta transportu biorą na siebie. Centralny związek przemysłowców austrjackich zwrócił się do rządu z prośbą, aby bezzwłocznie ogłosił projekt nowej autonomicznej taryfy celnej, gdyż przemysłowcy austrjaccy chcieliby zawczasu zająć wobec niego stanowisko.

— Sprawozdania z targu zbożowego na Kleparzu.

Kraków 14 październ. Płacono: pszenicę białą od 7·50 do 8·15 kor., czerw. od 7·50 do 8·10 kor., żółtą od 7·50 do 8·— koron, żyto od 6·25 do 7·10 koron, jęczmień browar. od 0·00 do 0·00 koron, na kaszę od 6·05 do 6·25 koron, owies 6·00 do 6·50 koron, rzepak od 10·25 do 10·50 koron, konicz. czerwony —·— do —·— koron, biały —·—, do —·— koron, kukurydza —·— koron. Wszystko za 50 kilogramów.

— Bank rolniczy we Lwowie. Lwów 15 października. (Dziś notujemy za 100 klg. loco Lwów Waluta koronowa.) Pszenica gotowa od 14·20 do 14·50 pszenica na termina od 13·60 do 14·—; żyto gotowe od 12·20 do 12·40, żyto na termina od 11·50 do 12·—; owies obroczny gotowy od 11·60 do 12·—, owies obroczny na termina od 11·20 do 11·60, jęczmień pastewny od 10·— do 10·50, jęczmień browarniany od 11·— do 12·—, rzepak od 19·— do 19·50, lnianka 16·50 do 17·50, groch pastewny 12·— do 13·20, groch do gotowania 14·— do 19·—, wyka 9·— do 10·—, bobik 10·— do 10·50, hreczka —·— do —·—, kukurydza nowa 10·— do 11·—, kukurydza stara 13·60 do 13·80, chmiel za 56 kilo —·— do —·—, koniczyna czerwona 90·— do 100·—, koniczyna biała nowa od 130·— do 180·—, koniczyna szwedzka od —·— do —·—, tymotka od 44·— do 52·—.

Spirytus powiatów Tarnopol gotowy za 50 ltr. od 16·25 do 16·50, ekskontyngentowy od 7·50 do 7·75.

Usposobienie lepsze, jedynie co do spirytusu tendencja zniżkowa.

— Wiedeń 15 października. *(Giełda zbożowa).* (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień od 7·32 do 7·34, na wiosnę od 7·41 do 7·42, żyto na jesień od 6·55 do 6·56, na wiosnę od 6·62 do 6·64, kukurydza na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień-październik od —·— do —·—, na maj-czerwiec od —·— do —·—, owies na jesień od 6·34 do 6·35, na wiosnę od 6·40 do 6·41, rzepak na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień-październik od —·— do —·—, na styczeń-luty od —·— do —·—, olej rzepakowy na wrzesień-grudzień —·— do —·—. Usposobienie silne. Pochmurno.

— Budapeszt 15 października. *(Giełda zbożowa).* (Kursa w koronach i po 50 kilogr.). Pszenica na październik od 7·17 do 7·18, na kwiecień od 7·24 do 7·25, żyto na październik od 6·32 do 6·33, na kwiecień od 6·37 do 6·38, owies na październik od 5·62 do 5·63, na kwiecień od 6·09 do 6·10, kukurydza na wrzesień —·— do —·—, na maj od 5·67 do 5·68; rzepak na sierpień od 11·65 do 11·75. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna słaba. Usposobienie bez ochoty. Pogoda piękna.

Wiedeń 15 października. (Giełda popołudn. godzina 12 m. 45). Marki 117·03. Renta majowa 100·80. Węg. renta koronowa 97·80. Akcje austr. zakł. kred. 682·25. Akcje węg. zakł. kred. 723. Akcje Anglobanku 273·50. Akcje Unionbanku 538·—, Akcje Bankvereinu 485·50. Akcje Länderbanku 395·—, Akcje kolei państw. 711·—, Lombardy 77·50. Akcje kolei Elbethal 462·—, Akcje fabryki broni 315·—, Akcje tytoniowe —·—. Akcje Alpiny 365·—, Akcje Rima Muranji 488·—, Akcje praskiego Tow. żel. —·—. Losy tureckie 113·50, Ruble 253·—. Usposobienie słabe.

Berlin 15 października. (Giełda poranna). Akcje kredytowe 215·60. Towarz. dyskontowe 187·70. Usposobienie spokojne.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 15 października 1902 r.

HOTEL GEORGE. Ks. H. Lubomirski z Równego. Hr. F. Zamoyski z Urycza. G. Głogowska z Bojanowa. A. Sachs z Przemyśla. H. Ungar z Wiednia. A. Zadora z Kijowa. J. Klager z Berna. J. Śliwiński z Królestwa Pol. B. Bogusz z Borysławia.

HOTEL EUROPEJSKI. Hr. K. Roztworowski z Hrehorowa. M. Połański z Kamiennej. W. Małecki z Zarubiniec. Ks. Rudkowski ze Szczurowic. M. Chorośnicka z Chorośnicy. O. Jankowski z Jarosławia. H. Kastner ze Stanisławowa. J. Sobestański z Warszawy. E. Zdanowicz z Borysławia. M. Podhorska z Posji. Dr A. Langer z Tarnopola. F. Chłapowski z Borysławia. A. Thom z Żeldec. J. Abgarowicz ze Stanisławowa. Dr. Osers z Wiednia.

NEKROLOGJA.

†

Włodzimierz Kurpita

usnął w Panu dnia 16 go października 1902 w 1 wiośnie życia.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się dnia 16 października b. r. o godzinie 3 ciej popołudniu z domu żałoby przy ul. św. Mikołaja l. 5 na cmentarz Janowski, na który w smutku pogrążeni rodzice krewnych i znajomych zapraszają.

Lwów, 15 października 1902.

„Stella" K. Słotołowicz, Wałowa 11.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nie odpowiedzialności.

(9)

Z życia małego kaprala.

POWIEŚĆ.

Część pierwsza.

„Niech żyje cesarz“.

— Wiem, że nie jest już w pańskim pułku, lecz obecnie znajduje się w Paryżu. Czy nie widziałeś go jeszcze?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Nie złożył panu wizyty?

— Nie, najjaśniejszy panie.

— Bardzo dobrze! to zdradza jego zamiary... Dowiedz się zatem pułkowniku, że ten dowódca szwadronu jest tutaj i że jest skompromitowany w intrygach, jakiemi pogardzam i ukrócam, skoro prywatni ludzie ośmielają się oddawać takowym, lecz karzę przykładnie, skoro oficerowie są w nie zamieszani. Pan de Sainte-Croix został z mojego rozkazu przewieziony z odwachu w Tuileries, gdzie, rozumie się będzie w więzieniu fortecznem, aż jego sprawa zostanie wyjaśniona. Pan wybadasz go w jak najkrótszym czasie. Mnie tylko samemu zdasz sprawę ze śledztwa. Oto jest raport spisany tej nocy przez oficera od grenadjerów, który go aresztował. Ponieważ złapany był na gorącym uczynku, chcę, żeby postępowanie sądowe, wyłącznie według prawa wojennego, było jak najkrótsze. Jak tylko je ukończysz, żądaj audjencji: mój sekretarz zostanie uprzedzony i wpuści pana zaraz do mnie. Zrozumiałeś mnie, pułkowniku?

— Zrozumiałem, najjaśniejszy panie. Zapytam tylko waszej cesarskiej mości, czy chodzi rzeczywiście o przekroczenie przeciw dyscyplinie?

— Powiedziałem panu, że chodzi o przekroczenie przeciw mojej osobie, o zamach prawie. Nie chcę, żeby o tem mówiono, lecz chcę, żebyś pan wiedział.

— Dobrze, najjaśniejszy panie. Jadę zaraz do Vincennes.

— Do widzenia, pułkowniku! Nic nie masz do powiedzenia o twoich dragonach? Jaka jest rzeczywista liczba żołnierzy w pułku od powrotu do Paryża?

— Tysiąc dwieście ludzi.

— Wszyscy rozporządzalni?

— Oh! nie, najjaśniejszy panie. Warty, straże honorowe zabierają ich dużo.

— Tak, za dużo, bezwątpienia, u pana i u innych. Muszę dziś zaraz rozpatrzeć to z gubernatorem Paryża. Nie chcę, aby odciągano moich żołnierzy dla wystawania wzdłuż schodów podczas balów, lub u drzwi marszałków. Jeżeli ci panowie pragną być strzeżeni nawet w Paryżu, powiem, niech Fouché da im swoich agentów. Chcę, żeby wszyscy moi pułkownicy mieli swoich ludzi pod ręką. Idź już kochany pułkowniku!

Pan de Mariolles po wyjściu z Tuileries, pospieszył do Vincennes po formie, to jest w mundurze, konno, z dwoma adjutantami i dwoma ordynansami w pełnej zbroi.

Sainte-Croix, zupełnie spokojny, lecz śmiertelnie smutny, siedział zamknięty w pokoju fortecznym, kiedy drzwi się otworzyły i weszło dwóch oficerów na śledztwo.

— Jakto komendancie — rzekł bez żadnego wstępu pan de Mariolles — więc to ja muszę przedstawiać się panu? Zapomniałeś o wszystkich obowiązkach służby wojskowej?

— Spóźniłem się rzeczywiście ze złożeniem panu wizyty, pułkowniku — odpowiedział więzień — zdziwiony nieco, że nadają tyle znaczenia tak małemu wykroczeniu — i przepraszam pana. Wiesz pułkowniku, że tylko ważne okoliczności...

— Właśnie mam pana wybadać co do tych ważnych okoliczności i żądać od pana wytłómaczenia się jasnego.

— Wytłómaczenia? Przebacz, pułkowniku, lecz jeżeli to mój zwierzchnik bada, będę musiał się tłómaczyć... Spodziewam się w każdym razie, że pan de Mariolles robiąc to, nie powinien zapominać, jak się mówi do pana de Sainte-Croix.

Od pierwszego spojrzenia nienawiść instynktowa powstała w sercach tych dwóch ludzi; w słowach ich było jak gdyby wyzwanie, nawet brzmienie głosu było nieprzyjazne.

Więzień jednak prędzej zapanował nad sobą, spojrzenie jego po chwilowej błyskawicy gniewu, powróciło do dawnego spokoju i z prawdziwą godnością, jak gdyby był u siebie, a nie w więzieniu, prosił gościa, ażeby raczył usiąść.

Nie tak prędko ochłonął ze złości pan de Mariolles.

Usiadł wreszcie i nie zważając nawet, że Sainte-Croix stoi, zaczął:

— Jak dawno jesteś w Paryżu, komendancie?

— Od trzech dni.

— Skąd przybyłeś?

— Ze Szwajcarji.

— Za urlopem?

— Z misją, pułkowniku. Miałem polecenie od księcia de Rivoli, przywiezienia kilku depesz do ministerjum wojny.

— Widziałeś się pan z ministrem?

— Widziałem.

— Kogo jeszcze pan odwiedzałeś?

— Moją matkę... Dlaczego uśmiechasz się, pułkowniku?

— Nie pozwalam, abyś pan mnie badał. Pytam, do kogo uczęszczałeś, komendancie, od chwili przybycia do Paryża — oprócz twojej rodziny naturalnie.

— Sądzę, że to nikogo nie obchodzi. Jeżeli mam odpowiadać jak czasu używałem, powinna wystarczyć moim dowódcom wiadomość, że zrobiłem to, co mi było rozkazanem.

— Więc odmawiasz pan powiedzenia z jakimi... przyjaciółmi spędziłeś te trzy dni i jakie okoliczności poprzedziły fakt, za który zostałeś aresztowany?

— Powiem to wszystko, pułkowniku, cesarzowi, jeżeli pozwolisz, dlatego, że przyznaję jego cesarskiej mości wszystkie, jakie są prawa — lecz tylko jemu — jak będę miał zaszczyt stanąć przed nim.

— Cesarz mnie przysłał, a dodam, że jestem pańskim zwierzchnikiem.

— Pan, pułkowniku, posiadasz wyższy stopień odemnie, ale zwierzchnikiem moim jest pan marszałek Massena.

Mariolles z trudnością powstrzymał wybuch. Spokój komendanta do rozpaczy go doprowadzał; stanowczy opór jego władzy wydawał mu się obrazą nie do darowania. Wymógł jednak na sobie trochę spokoju, aby wydobyć z Sainte Croix odpowiedź formalną, któraby była jednocześnie aktem upokorzenia; lecz niezręcznie się wziął do tego, ponieważ przemówił ubliżająco:

— Powtarzam panu, komendancie, że cesarz polecił mi wyjaśnić tę sprawę i wręczył raport prowizoryczny porucznika Tanonville, przez którego byłeś pan zabrany przy bójce z policją na Champs Elysées.

— Nie wiedziałem — rzekł Sainte-Croix, wściekły po takiej zniewadze — żeby grenadjerzy gwardji jego cesarskiej mości cesarza i króla byli używani do zabierania włóczęgów z rąk policji!...

— Czy pan wreszcie zechce mi odpowiedzieć?

Sainte-Croix, jak śmierć blady, z ustami zbielałemi, z trzęsącemi się rękami, zbliżył się, nie powiedziawszy ani słowa, do stolika, przy którym pisał raport porucznik, zastępujący pisarza, chwycił pióro i stojący pisał:

„Ja niżej podpisany, Karol Gaston Ferdynad de Sainte-Croix, komendant szwadronu w 12 pułku dragonów, adjutant pana marszałka księcia de Rivoli, mam zaszczyt przesłać panu ministrowi moją dymisję z moich stopni i obowiązków.

Sainte-Croix.

Paryż 7 sierpnia 1807 r.“

Podał potem pułkownikowi list nie złożony.

— Proszę pana o przesłanie mojej dymisji drogą urzędową, a spodziewam się, że kazawszy ją doręczyć komu należy, pan pułkownik de Mariolles zechce przypomnieć sobie, że dawniej w naszej rodzinie noszono szpady nie będąc nawet żołnierzem.

— Pan mnie wyzywa, panie de Sainte-Croix? — rzekł Mariolles powstając.

— Zdaje mi się, panie, że od wejścia do tego pokoju każde twoje słowo, do mnie skierowane, było wyzwaniem. Ja tylko pana naśladuję.

— Mówiłem i mówię do pana, jak mi się z prawa należy.

— Każdy pojmuje swoje prawo, jak mu się podoba i reguluje je podług swojej własnej godności. Obraziłeś mię pan i żądam zadośćuczynienia.

— Nie obraża się podwładnego, tylko mu się rozkazuje.

— Nie jestem już pańskim podwładnym, jestem panu równym, proszę nie zapominać o tem.

Dwaj oficerowie zrobili ruch, jak gdyby chcieli rzucić się na siebie; porucznik, niemy świadek tej sceny, wyciągnął bezwiednie rękę, chcąc temu przeszkodzić; lecz Sainte-Croix opanował się natychmiast i ze skrzyżowanemi na piersiach rękami stanął wprost przeciwnika. Pan de Mariolles opamiętał się za jego przykładem i zdawało się, iż odstępuje od roli oficera policji sądowej. Oddał porucznikowi list z dymisją i kazał doręczyć go do krótkiego protokołu badania.

— Niech i tak będzie! — rzekł następnie, zwracając się do Sainte-Croix. — Jak tylko zdam sprawę cesarzowi, usłyszy pan o mnie, komendancie!

— Jestem na rozkazy, panie de Mariolles — odparł więzień, kłaniając się lekko.

. . . .

. . . .

Cesarz wpadł w gniew gwałtowny, skoro dowiedział się od pułkownika de Mariolles o niespodziewanym wyniku badania de Sainte-Croix.

Krótko jednak gniew ten trwał, gdyż obydwaj obwinieni postępowali (rozumiał to bardzo dobrze) z wielką prawością i tak, jak gdyby wzięli sobie za zadanie pokryć milczeniem awanturę cesarza.

Schulmeister, co prawda, drwił trochę z Tanonville'a, a Sainte-Croix wyzwał pułkownika de Mariolles; lecz obydwa użyli jedynego sposobu jaki im pozostał, aby nic nie powiedzieć z tego, co widzieli. Zbuntowali się raczej, a nie wyjawili nic na szkodę cesarza. Rzeczywiście, nie było się za co gniewać!

Jak zawsze, kiedy nie wiedział jak wyjść z kłopotu, Napoleon zwrócił gniew na pośrednika, który nie po jego myśli mu usłużył.

— Otóż tedy, pułkowniku — rzekł — nie można ci powinszować tej wyprawy. Musiałeś niepotrzebnie wyprowadzić z cierpliwości pana de Sainte-Croix, kiedy aż tak postąpił.

— Jeżeli się pomyliłem, najjaśniejszy panie, — odpowiedział pułkownik — to w chęci służenia waszej cesarskiej mości. Poniosę tego następstwa...

— Oh, tak! A mnie dużo z tego przyjdzie, jak przyjmiesz pojedynek! Oficer podający się do dymisji (nawet dobry oficer, jak utrzymuje Massena) i drugi taki sam, zmuszony bić się z nim... To nie ma sensu!

— Lecz najjaśniejszy panie, nie można inaczej zrobić.

— Doprawdy! A cobyś powiedział, gdybym nie przyjął dymisji pana de Sainte-Croix i przetrzymał go w Vincennes, dopóki trochę nie ochłonie?

(Ciąg dalszy nastąpi).